

Mag. St. 

95948

kal. romo.

95954

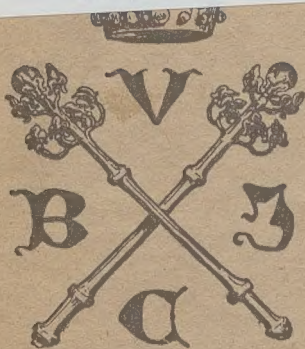
P



Biblioteka Jagiellońska

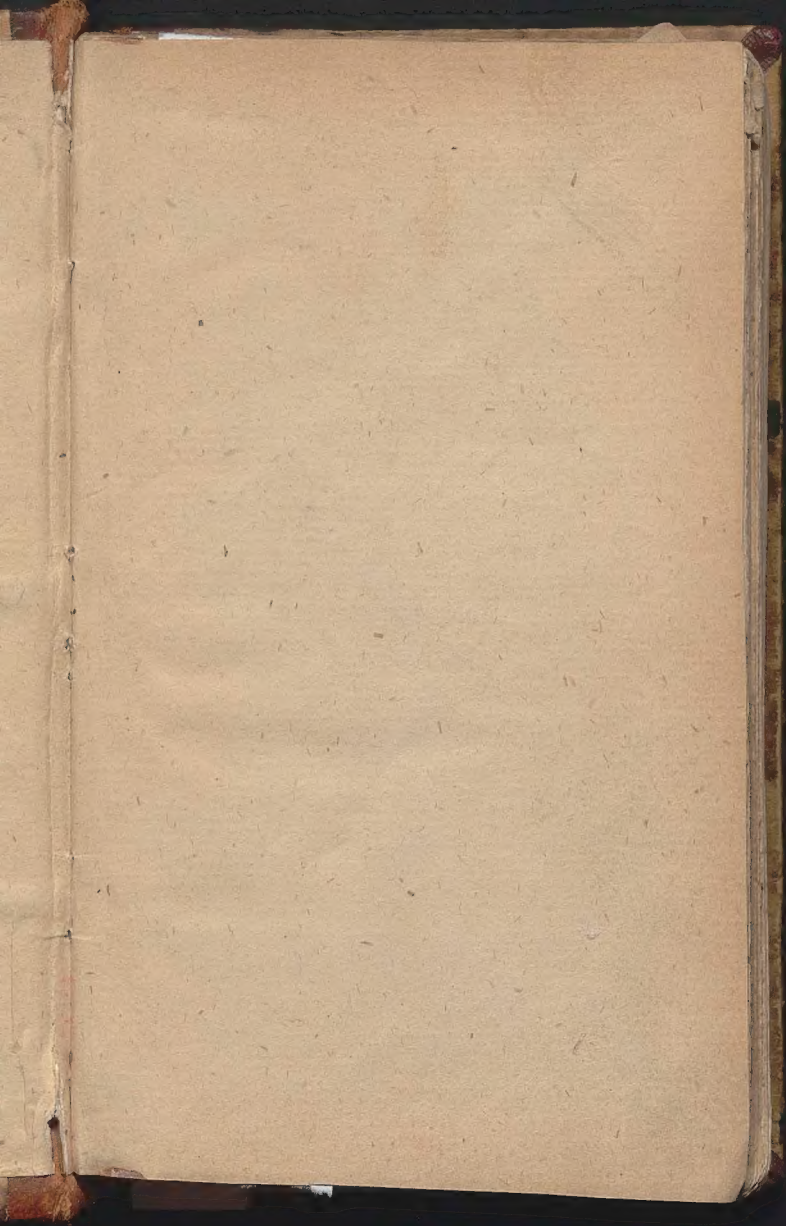


stdr0003645



95948 - 95954

I





Voltaire, Naigroda choty  
W-ha, [1767]

**D Z I K I**  
**AMERYKANIN**  
**KOMEDYA.**

U

ORA

95952



DZIKI AMERYKANIN

D O

EUROPY z LELIUSZEM

PRZYBYŁY

K O M E D Y A

W E

TRZECH AKTACH

*autor Lechide*



W WARSZAWIE



w Drukarni Nadworney J. K. MCI

MDCCLXXVIII.

*A. Wrosta*



## O S O B Y.

LELIUSZ. Synowie Pantalona.

MARYUSZ.

PANTALON Ociec, Kupiec Wenecki.

LEANDER Brat Pantalona.

ARLEKIN Dziki Amerykanin.

SBRYGANI Sługa Leandra.

SKAPINO Sługa Leliusza.

TANDECIARZ.

UKRZYWDZONY.

ZOŁNIERZE.



SCENA

W Genui.





# A K T I.

## SCENA I.



LELIUSZ. SKAPINO.



LELIUSZ.

Czyś sprawił? czyś wszystko w  
drogę zgotował?

SKAPINO.

Zgoła wszystko, łódź wy-  
godną namię, można będzie  
W. M. Panu jutro kiedy chcąc odiachać.

LELIUSZ.

Patrz, żebyśmy jutro skoro świt od brze-  
gu odbić się mogli; każdy moment, który od

A



Oyca oddalony przepędzam, wiekiem mi się być zdaie. Pusiłbym się w śród najfrozszych nawałności, gdybym wiedział, że mię prędzey na brzeg Oycowki wyrzucą.

#### SKAPINO.

Porzuc W. M. Pan te nawałności, iest to poiazd cale nie wygodny, a mocno niebezpieczny, samo doświadczenie, kiedyśmy w ostatniey toni zostawali na brzegach Hiszpańskich, tę z głowy W. M. Pana rezolucyą wybić by powinno. Niewiem coby rzekł Arlekin na tak desperackie przedsięwzięcie, wolno się go w tym poradzić.

#### LELIUSZ.

Prawda, wielki go w ten czas tchorz obieciał, i gdyby w takim razie było miejsce śmiechowi, uczyniłbym był wielką uciechę sobie z iego cholery, laiania, oto, żem go na takie naraził niebezpieczeństwo. Gdzie on iest dopiero?

#### SKAPINO.

Poiąć się nie może, w wielkim wszystkim, na co tylko spojrzy, podziwieniu zostaje. Pękałbyś się W. M. Pan z niezwyčajnego zadumienia, i prostoty iego.

#### LELIUSZ.

Wszakci umyślnie dla uciechy moiey zakazałem go informować o zwyczajach naszych. Bystrość dowcipu, która się wydawała w odpowiedziach iego, powodem mi była przywiezienia go do Europy. Chcę w

✱   ✱   ✱

5  
nim poznać prośotę natury, Polycyi, nau-  
kom, i sztukom naszym przyrównaną; rozu-  
mieniem, że ztąd będzie, i uciecha, i nieiakieś  
dla naszych obyczajów pouczenie.

SKAPINO.

Ani wątpić.

LELIUSZ.

Idź że dopiero, rzeczy w drogę rostro-  
pnie każ układać, ia tym czasem do Stryia  
pospieszę, a to w niemałym interessie.

SKAPINO.

W Jakim?

LELIUSZ.

Nierostropna sługi ciekawość, chceć o  
Pańskich wiedzieć interessach. I Panom nie na-  
leży zewszystkim się przed sługami zwie-  
rzać.

SKAPINO.

Dopytałem się.

## SCENA II.

LELIUSZ SBRYGANI.

LELIUSZ.

Hey! bracie zkąd? i dokąd spieszysz?

SBRYGANI.

Idę z domn tam, gdzie mi stanąć potrze-  
ba?

LELIUSZ,

Otoż odpowiedź sług?

SBRYGANI.

Takie pytanie, taka i odpowiedź.

Aij



LELIUSZ.

Czy niemożesz mi powiedzieć..

SBRYGANI.

Co? powiedzieć? i wiele mogę. Mówię  
naprzód W. M. Panu: że wino pod zieloną  
wiechę arcy dobre, że...

LELIUSZ.

Ale się ja ciebie o to nie pytam, day po-  
koi tym żartom.

SBRYGANI.

Ja sam u Pana swojego w koncie sypiam,  
a żartom mam dawać pokoię.

LELIUSZ.

Bieda z tym człowiekiem... Radbym ja  
wiedział...

SBRYGANI.

Wiedz W. M. Pan, iż jeśli do domu nie  
powrócę wcześniej, tedy mię Pan pewnie ki-  
iem wylata.. Kłaniam W. M. Panu.

LELIUSZ.

Proszę zatrzymaj się trochę... Drwi ze  
mnie hultaj, trzeba z nim inaczej ( *Dać  
mu pieniądze* ) na Bracie, i powiedz mi bez  
żartów o co się spytam.

SBRYGANI.

A, to co innego.... wiedzże W. M. Pan,  
że ja jestem chłopiec, idę na rynek poślany  
od Pana.

LELIUSZ.

Jakiż to twój Pan.

SBRYGANI.

Jaki sługa, taki i Pan, zacny sługa, zacny



być musi i Pan; i zowie się Le.. Le.. prawdzi-  
wie niewiem, zapomniałem, Le.. Le..

LELIUSZ.

Otoż pięknie, śluga nie wie, iak się Pan ie-  
go zowie.

SBRYGANI.

Poczekay, przypomnę Le.. Le..

LELIUSZ.

Czy nie Leander?

SBRYGANI.

Może i Leander, niech tak będzie iak W.  
M. Pan mowisz.

LELIUSZ.

Gdzież ten Pan twoy stoi?

SBRYGANI.

Niewiem czy on teraz stoi, czy siedzi,  
wiem że nie leży, bo niedawno wstał.

LELIUSZ.

Nie o to się pytam, chcę wiedzieć, gdzie  
mieszka?

SBRYGANI.

Gdzie mieszka? ho, ho, mieszka on w pa-  
łacu.

LELIUSZ,

Gdzież ten pałac?

SBRYGANI.

Gdzie pałac?.. na końcu łązka.

LELIUSZ.

Wiem ia o tym.

SBRYGANI.

Na coż się pytasz, ieżeli wiesz.

LELIUSZ.

Drwisz głową.. Ja mówię, wiem o tym, że

8  
się trzeba pytać. i dla tego ciebie proszę, żebyś mi powiedział, kedy jest pałac Pana twego, podobno Leandra... nużę, powiedz mi, wzięłeś pieniądze.

SBRYGANI.

Ale prawda wzięłem, otoż powiem szczerze: będziesz W. M. Pan szedł ulicą, z iedney, i drugiey strony są kamienice, i pałace; potym W. M. Pan będziesz szedł i w prawo, i w lewo, przez szeroka, i wąską ulicę, po bruku, przez rynsztoki; aż przyidzież do Pałacu Pańskiego, tam wszedłszy przez bramę, dziedziniec, ganek, i drzwi pierwszego pokoju, znajdziesz samego Pana, i przy nim gościa z wielkim nosem, i brodą, i... ah.. długo się bawię, kłaniam..

LELIUSZ.

Zatrzymay się jeszcze na moment, jeszcze słowko..

SBRYGANI.

Przepraszam W. M. Pana, bo się długo bawić nie mogę, chodzi mi o grzbiet. Kłaniam.

LELIUSZ.

Oto ofszust, proszę z takim człowiekiem doić sprawę? sługa podobno mego Stryia Leandra..., ale, coś mówił, że jest tam u jego gość z dużym nosem, i brodą, prawdziwie, czy nie Ociec to moy tylko do brata swego przyiachał?... z dużym nosem, i brodą... Tylkoż, czy ieden to moy Ociec na świecie. z dużym nosem, i brodą... a może i Ociec?



\* \* \*

9

bieda, nie mam się kogo spytać, gdzie mieszka Leander? ten mi szalapat dziwnych rzeczy na plotł, proszę go zrozumieć?..

## S C E N A III.

LELIUSZ ARLEKIN.

ARLEKIN.

Ha. ha. ha; Jak się nie śmiać z ludzi kraju tego? Ha.. ha.. ha.. stroją się w piękne suknie, i nie przystępnemi się staia; wyciągaia szyję iak bociany; wożą ie w iakich ściś klatkach; ięść, i pić im podaią; zrana ich ubieraią, w wieczor rozbieraią, właśnie iak by bez rąk, i nog kalecy byli ha.. ha.. ha..

LELIUSZ.

W głębokich reflexyach zostaie, muszę się z niego troche ucieńczy... Jak się masz Arlekinie?

ARLEKIN.

He.. czy i ty tu? iak się masz Kapitanie?

LELIUSZ.

Oczym myślisz dopiero?

ARLEKIN.

Oczym myślisz? myślę, że ten kraj bardzo, aż nadto iest zły. Proszę cię wyieźdzać ztąd czymprędzey.

LELIUSZ.

Czewuż to?

ARLEKIN.

Bo ia tu widzę ludzi iednych zuchwa-

łych., którzy drugim rozkazują, i sobie służyć każą. drudzy są po większej części gnusowicie, którzy się boją, i bydlęce życie iak bestye w pracach ustawicznych prowadzą.

LELIUSZ.

Pochwalisz to z czasem, co dopiero zgłupstwa, i niewiadomości ganisz.

ARLEKIN.

Niewiem co potym będzie, teraz zaś zdaje mi się, iż u was nic, ani..trochę nie masz rozumu.

LELIUSZ.

Oto hypokondryk, iak to u nas rozumu nie masz? słuchaj! pomni na to, że już nie z dzikimi i grubymi Amerykanami, ale z narodem obyczajnym i politycznym obcuje.

ARLEKIN.

Coż to jest naród obyczajny, i polityczny?

LELIUSZ.

Są to ludzie regułami Policyi i różnych umiejętności miarkujący się.

ARLEKIN.

Policyi i umiejętności regułami.... a coż to za naród? nie znam tego Jegomości.

LELIUSZ.

Nie naród to, ale niektóre przepisy w rozumie wyczerpnięte, które nas uczą, iak się mamy we wszystkim sprawować, postępować, i czynią nas mądrymi, pocziwemi.

ARLEKIN.

Alboż wy się głupkami i hultajami rodzicie?



LELIUSZ.

Zkądże to?

ARLEKIN.

O to ztąd: potrzebuiecie niektórych przepisów policyi i umiętności na to, abyście mądremi, i poczciewemi byli; więc z natury głupiem i niepoczciewym być musicie; wszak ci to iasno.

LELIUSZ.

Jako żywo, złe wnosisz. Rodziemy się z własnymi niedostatkami, iako i wszyscy ludzie, i chyba sam rozum wsparty dobrą edukacją poprawić je może.

ARLEKIN.

Alboż wy macie rozum?

LELIUSZ.

To mi pytanie, ktoż o tym wątpi?

ARLEKIN.

Powiedzże mi, proszę, iak wasz rozum wygląda?

LELIUSZ.

Nie rozumiem pytania.

ARLEKIN.

Chcę wiedzieć, co jest ten rozum, który wy macie?

LELIUSZ.

Jest światło przyrodzone, przez które poznaiem złe i dobre, i uczy nas strzedz się złego, a czynić dobrze.

ARLEKIN.

Pfu, co u licha, wszakci wasz rozum takiż sam jest, iaki i nasz.





LELIUSZ.

Pewnie, bo u wszystkich ludzi na świecie rozum jest iednaki.

ARLEKIN.

Jeśli rozum jest iednaki, u wszystkich ludzi, to taki rozum u ciebie, iaki i umnie?

LELIUSZ.

Takiż sam.

ARLEKIN.

Rozum i u ciebie i u mnie takiż sam; czemuż ty siebie rozumnym i politycznym, a mnie głupim i prostakiem nazywałeś?

LELIUSZ.

Ha. ha. ha..

ARLEKIN.

Rozum i u ciebie, i u mnie ten sam; więc jeśli ty jesteś rozumny i polityczny; to i ja rozumny i polityczny, a jeżeli ja (iaki ty mówisz) jestem prostak, i głupi... aha.. co nato?

LELIUSZ.

Ha., ha.. ha..

ARLEKIN.

Nie śmiech to, ale prawda.

LELIUSZ.

Rzecz godna śmiechu, bo fałsz oczewisty: jestem ja człowiekiem rozumnym i politycznym, bo mi dano doskonałą edukacyą, ktorey że ty nie miałeś, jesteś głupi i prostak.

ARLEKIN.

Jestem rozumny, i polityczny, bo mi da-

\* \* \*

13

no edukacya... ale na cò wam ta potrzebna  
ecukacya, kiedy wy macie rozum?

LELIUSZ.

Prośtak jesteś, i dla tego nie przenikasz  
potrzeby edukacyi. Wiedźże otym; że ro-  
zum czyni nas różnymi od zwierząt i by-  
dłał, które nie mają rozumu; edukacya zaś  
obyczaje w nas miarkuje, i uczy iak mamy  
przyśtoynie z ludźmi obcować, i każdemu  
się z braci naszej przymilić, przypodobać.  
Iz tadto jest, że ieśli co czyniemy, to uczyn-  
ność naszą i chęć komplementem polity-  
cznym iakim oświadczamy, co szacunek nie-  
iakiś rzeczy przydaie.

ARLEKIN.

Coś to jest dziwnego ten wasz komple-  
ment! uczynź że mi iaki naprzykład, żeby-  
m go mógł poznać, co on jest?

LELIUSZ.

Dobrze, imaginuy sobie, iż Ja cię na obiad  
do siebie wzywam.

ARLEKIN.

Zaraz będę imaginować.. no, iuż imagi-  
nuię...

LELIUSZ.

Cobym miał ci grubiańsko mowić: Arle-  
kinie, ziedz zemną obiad; kłaniam ci się skła-  
dnie, i tak mowię: moy grzeczny kawale-  
rze, naymilszy Arlekinie, życzyłbym sobie  
tego szczęścia, mieć Ciebie dziś u siebie na  
obiedzie.

ARLEKIN.

Moy grzeczny kawalerze, naymilszy Ar-



Iekinie, życzyłbym sobie tego szczęścia, mieć ciebie dziś u siebie na obiedzie... ah co co to za rzecz śmieszna ten kaplement?.. aha ha.. ha..

LELIUSZ.

Utraktować cię w prawdzie iakby na twoię godność przynależało, nie potrafię.

ARLEKIN.

Fe, to nie dobrze. wyrzuc to proszę, z kaplementu.

LELIUSZ.

Będę się iednak na potym starał, żebym cię lepiej uczęstował.

ARLEKIN.

Także i uczyni teraz, ale nie na potym.

LELIUSZ.

To com powiedział, dobrej cześci nie przeszkodzi, bom ia to mówił szczegulnie dla oświadczenia tobie chęci moiey, która nie takiego, czym by ci się godnie przyśłużyć mogła, nie nayduie.

ARLEKIN.

Nie iestem ia wymyślnego smaku. z tym wszystkim podoba mi się twoy kaplement, ponieważ mi w nim dobry obiad obiecuiesz, wolalbym iednak, prawdę mówiąc, żebyś mi był toż samo, że mię dobrze chcesz utraktować, po prostu bez tych obrzeškow opowiedział.

LELIUSZ.

Ale rzecz uczciwsza zaprosić z kaplementem.





ARLEKIN.

Prawda, uczciwiza, ale nie pożyteczniej-  
sza, bo czy będzie kapłement, czy nie bę-  
dzie. jeśli obiad dobry, to można podieść.  
I tożto cały pożytek z waszey edukacyi, pię-  
knie zaprosić na obiad?

LELIUSZ.

To naymnieyszy.

ARLEKIN.

I-ia go niewielkim być sładzę.

LELIUSZ.

Dobra edukacya czyni nas ludzkiemi, i  
sprawiedliwemi.

ARLEKIN.

To dobrze.

LELIUSZ.

Pociaga nas do zabiczenia cudzym niedo-  
statkom.

ARLEKIN.

To wyśmienicie.

LELIUSZ.

Jedna nam sława, dobrą estymacyą.

ARLEKIN.

Coż to jest sława?

LELIUSZ.

Jest to dobre rozumienie o drugim, z kąd  
to pochodzi, że takiego wszyscy wychwa-  
lają mówiąc: to kawaler zacny, mądry, oby-  
czayny.

ARLEKIN.

Już ta Pani sława, widzę naylepsza, chciał-  
bym i ja, żeby mnie wychwalono mówiąc:  
Arlekin piękny to kawaler, dziki Amerykanin.

\* \* \*

LELIUSZ.

Edukacya pokazujećo iest chwalebne-  
go, naganego w obyczaiach. Z niey pocho-  
dzi doskonały we wszystkich rzeczach po-  
rządek: czego zechcesz, ba oczym tylko po-  
myślisz, tego wszystkiego u nas dostaniesz,  
nawet do domu twego to wszystko przyniosą.

ARLEKIN.

Co zaś? wam to wszystko, czego wy  
chcecie do domu przyniosą?

LELIUSZ.

Tak iest:

ARLEKIN.

Nie dziwnię się dopiero, że tak dobrze  
we wszystko obfitujesz? już pomału z tego,  
co mówisz, dochodzę; że z siebie nie wiele  
warcę iesteście, ale edukacya was wielkie-  
mi, i dobremi czyni, i znami Amerykanami  
rownie, iak uważam, szczęśliwemi. Jeśli to  
tak iest, dziękujeś ci moi Leliuszu (*obtapia*  
*za życie*) żeś mię tu z sobą przywiozł, wy-  
bacz prostocie moiej. Ty sam widzisz, że  
patrząc czasem na niektóre postępy wasze,  
wierzyć trudno, iżście tak dobrzy, i poczi-  
wi.

LELIUSZ.

To widzisz? wróć że się teraz do domu,  
więcey ci inszego czasu opowiem.

ARLEKIN.

Kray ten iest bardzo dziwny? ktoby u li-  
cha widział? iż się ludzie rozumni na świe-  
cie nayduią, którzy procz rozumu potrze-  
bują edukacyi, ażeby dobremi byli.



## S C E N A IV.

PANTALON LEANDER SBRYGANI  
ARLEKIN.

*Tu Arlekin dziwnie się z boku przypatru-  
jąc postaci Pantalona.*

LEANDER.

Jak sobie w tym kraju podobasz Bracisz-  
ku?

PANTALON.

Pokozenie, i wesolosc jego wielce mnie  
kontentuje.

LEANDER.

Jeśli tak jest, wolno się w nim W. M. Pa-  
nu iak naydluzey bawic; Dom moy niech  
na zawsze wygodom jego stoi otworem.

PANTALON.

Mile mi bardzo to braterskiey chęci W.  
M. Pana oświadczenie. Ztym wszystkim  
czym prędzey do domu dla pilnych zabaw  
spieszyc muszę; abym tytkomoi interes z W.  
M. Panem zakonczył.

LEANDER.

Interes ten iuz uspokoioiony; tego, co i  
przedtym iestem ulozenia i com nieraz mo-  
wil, to i dopiero powtarzam; rzetelny ie-  
stem, slowa, i obietnicy dotrzymac muszę.

PANTALON.

Czy Leliuszowi koniecznie W. M. Pan  
swoie dziedzictwo zapisuiesz? Ktorego iuz  
dawno morskie fale pochlonely, iuzem go  
dawno Ociec zalosny oplakal.

\* \* \*

LEANDER.

Niepotrzebna to impresiya o zgubie iego.

PANTALON.

Coż kiedy wieść publiczna wszędy tak  
głosi.

LEANDER.

Wieściom tak łatwo wierzyć nie nale-  
ży, częstokroć bowiem omylają.

PANTALON.

Prawda, ale ta, ile że powszechnym  
wsparta mniemaniem, nie omyli; na coż in-  
nych dowodów szukać? chcieli W. M. Pan,  
żeby trupa iego z odległych Ameryki Kra-  
iow przed oczy W. M. Pana przywieziono?

LEANDER.

Nie tak widocznego, pewnieyszego ie-  
dnak oczekiwam dowodu.

ARLEKIN *na sronie.*

Ależ nos?... coż to za nos? ha ha. ha..

LEANDER.

A noż Syn W. M. Pana Leliusz wybrno-  
wszy z głębokości morskiej po świecie się  
dążąc do Ojczyzny, tuła. Co mu za pocie-  
cha będzie? gdy w tak nędznym od nieszczę-  
ścia sobie zadany razie, u mnie potym się  
zjawiwszy, przytulenia mieć nie będzie? Co  
powie, gdy ja onemu słowa danego nie do-  
trzymam, a Maryuszowi dziedzictwo zapi-  
szę, które Leliuszowi obiecałem.

PANTALON.

Wszystkie reflexy W. M. Pana na sa-  
mych fundują się koniekturach.

LEAN-





LEANDER.

19

Ale te koniektury do prawdy są podobne.

ARLEKIN *na stronie.*

Ah darmo już nie wytrzymam.

PANTALON.

Rozumu się w tey rzeczy bardziej, niż affektu poradzić należy.

ARLEKIN *szcztkę w nos dawszy*  
*Pantalonowi.*

Ah ha. ha. co za śmieszna poczwara?

PANTALON.

A toż co?

ARLEKIN.

Co za śmieszna figura? nigdym ieszcze takiej w oczy nie widział? ah. ha. ha.

PANTALON.

Co to za hultaj?

ARIEKIN *do Leandra.*

Powiedz mi: jak się ten zwierz nazywa?

LEANDER.

Milcz hultaju! jest to człowiek uczciwy, który cię ubić każe, jeśli tych żartów nie porzucisz?

ARLEKIN.

Co zaś on człowiek? aha... ha. ha. co za śmieszna postać? *Do Pantalona:* Powiedźże no mi ty brodaty koziołku, iakiego rodzaju jesteś? bom ja ni człowieka, ni bydłęcia tobie podobnego nigdy nie widział.

PANTALON.

Albo mi uśtań z oczu niecnoto! albo cię na miejscu ubię.



ARLEKIN.

Czy nie licho nadało takich ludzi? o  
wszystko się gniwają. nazwałem cię kozłem  
brodatym, bo masz brodę długą, siwiusiętką,  
zaostrzoną na końcu.

PANTALON.

Ey, milcz, halta!

ARLEKIN.

Broda, iak broda, ależ iaki nos? iak po-  
tężny aha. I a.. ha..

PANTALON *rzucił się na Arlekina.*

A pokiż ci cierpieć będę?

ARLEKIN.

Kiedy się urażałeś o to, że ia prawdę mo-  
wię, iż masz nos potężny, otoż nie gnie-  
way się, mówię, że masz nos mały, malu-  
siętki nosczek, iak ia.

PANTALON.

O! już darmo, nadto drwisz głową.

SBRYGANI *wstrzymując Pantalona.*

Mci Panie nie czyń mu nic złego, wszak-  
ci on to z prostoty i głupstwa uczynił.

ARLEKIN.

To miczłowiek dobry, znać że lepiej  
od tych umie policzyć, i doskonałą miał  
edukacją.

LEANDER.

Nieborak ma rozum pomieszany, od rze-  
czy mowi.

ARLEKIN.

Falsz, kłamiesz, jestem ia człowiek rozu-  
mny, nieukci wprawdzie, i osiek, prostak,  
dziki Amerykanin, edukacyi waszey nie ma-  
jący, ależ poczciwy, rozumny, i zacny Ka-

✱   ✱   ✱

51

waler. Ale iak to ucieśzny człowiek? prawdziwie śmiech iest na iego spoyrzeć.

LEANDER.

Coś w nim osobliwszego.. Sluchay bracie z kąd iestes? ARLEKIN.

Ja? Sluchay Bracie, iestem z wielkiego i gęstego lasu, gdzie się sami tacy kawalerowie rodzą iako i ja, ktorzy, choć żadney edukacyi nie mają, iednakże są naturalnie dobrzy, poczciwi, ah.. ha.. ha..

LEANDER.

Mnieysza o to; ale powiedz mi, iak tu przyiachałeś?

ARLEKIN.

Przyiachałem w korycie długim, długim, strach iak długim, bo byli na nim: Ja, i zemną Kapitan, także inne narody, ktore nazywają Flisami, Żołnierzami i Officyerami.

LEANDER.

Nie zły porządek w wyliczeniu... co za prostota? musi to być prawda, co on mowi, iest śnać, iako sam powiedział z dzikich krajów przybyły człowiek, nic zgoła o oby-  
czniach tutejszych nie wiedzący.

ARLEKIN.

Już co nie wiem, to nie wiem! to tylko wiem, że się rodzicie głupiem i niepoczciwemi, ale was edukacya nieiakaś mądremi, i poczciwemi czyni. Dowiedziałem się tego od Kapitana mego. On dobrze zna tę edukacyą i rozumie, a ty, czy znasz?

LEANDER.

Pewnie że znam.

Bij



ARLEKIN.

To pewnie jesteś z tych liczby, którzy potrzeby przychodniom dostarczają, bo moi Kapitan mi mówił, że ludzie znający edukacją, tak czynią z przepisu waszej policji.

LEANDER.

Mów śmiecie jeśli czego potrzebuiesz? uczynię.

ARLEKIN.

Potrzebuiesz?.. czego mam potrzebować? mając jeść, i pić, u mego Kapitana. Oto, schodzi mi tylko, iako obcemu na przyjaciela, z którymby w niebytności Kapitana po gawędził sobie.

LEANDER.

Wszyscy my przyjaźń naszą tobie ofiarujęm.

ARLEKIN.

Nic mi po was wszystkich,... bo ze wszystkimi mówiąc, uszu by mi, i języka nie śiało, dość mi jednego.

LEANDER.

Maszże mnie przyjaciela.

ARLEKIN.

Coż kiedy ja ciebie nie chcę.

LEANDER.

To tego sobie obierz ( *do Pantalona* )

ARLEKIN.

Ah. ha. ha. brodatego kozła? aha. ha. ha.. niechcę, niechcę nos ma potężny, iak indyk. Piękny to przyjaciel? aha. ha.. fe, nie chcę...



Szałony to jest człowiek; głupiemu trzeba wybaczyć.

ARLEKIN.

Ot ja tego (do Sbryganiego) chcę.

LEANDER.

Czemu?

ARLEKIN.

Bo on musiał mieć najlepszą edukacyą, i najlepiej, iak sobie uważam, zna policyą.

LEANDER.

Zkądże to?

ARLEKIN.

Gdyście się wy na mnie obadwa bez przyczyny oburzyli, on nie dopuścił nic mi złego uczynić... Powiedz że mi, czy chcesz być moim przyjacielem?

SBRYGANI.

Miałbym to sobie za szczęście Mci Panie?

ARLEKIN.

Sameś taki, ja nie jestem Mci Panie, ale Arlekin nazywam się.

SBRYGANI.

Arlekin? Jakie to śliczne imię?

ARLEKIN.

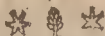
Aha. bo ja tak chciałem. A Twoje czy tak piękne? powiedz mi, iak się zowieś?

SBRYGANI.

Jestem Sbrygani.

ARLEKIN.

Sbrygani?... w moim języku kwiatek znaczy, co właśnie tobie służy, bo moim zda-



niem tak iesteś grzeczny, i piękny, iak młoda, a zieloniusiśka pokrzywka.

LEANDER.

Patrz iak niepospolita reflexya.

PANTALON.

Słyszałem, że krainu tego ludzie zazwyczaj przez podobieństwa mówią.

LEANDER.

Ja się prostocie, i poczciwości jego wydziwić nie mogę.

ARLEKIN.

Czy słyszysz Sbrygani, moia pokrzywko, oto ten człowiek mówi, że ja jestem poczciwy, a ty czy tak o mnie trzymasz?

SBRYGANI.

Nie inaczej.

ARLEKIN.

Toć moim przyjacielem koniecznie być musisz, bo poczciwym zawsze sprzyać należy, czy prawda?

SBRYGANI.

Prawda.

ARLEKIN.

No, idźmyś moją miłą przyjacielu.

SBRYGANI.

Hola, Panie Arlekinie, bardzo zbytnia konfidencyja, nie tak to łatwo u nas przyjaciel iednają. na wielu ci jeszcze rzeczach do zniewolenia moiej chęci schodzi.

ARLEKIN.

Albo co?... (na stronie) pewnie i tu iaki kółwiek będzie wymyśl edukacyi i ich po-



licy, którego ja nie umiem, biedny ja jestem z tą prostotą moją... słuchaj Sbrygani, ja szcyrze sprzyjać umiem, jeśli zaś czego więcej nadto do przyjaźni potrzeba, mówże mi rzetelnie, a uczynię to,

SBRYGANI.

Trzeba dać dobre słowo, któreby przyjaźń oświadczało, i chęć drugiego zniewalało.

ARLEKIN.

Wszak przyjaźń na dobrym sercu, nie na słowach zależy. Zabii mię słow dobrych, których ty żądasz. ani znam, ani umiem.

SBRYGANI.

Koniecznien tych słow potrzeba, bo inaczej moiej przyjaźni nie doznasz.

ARLEKIN.

Czy nie kłódkisz to w głowie, iak mam do ciebie pięknemi słowy przemówić, kiedy ich nie umiem. Naucz mię ich z lichem, to i powiem.

SBRYGANI.

Nie moia to rzecz tego Ciebie uczyć.

ARLEKIN.

Coż mam tedy czynić?

LEANDER.

Juże dopiero osiadł na koszu... Słuchaj Arlekinie, dać komu dobre słowo, albo mówić pięknie, jest to chwalić tego, którego chcesz mieć za przyjaciela, chwalże teraz jego osobę.

✱ ✱ ✱

ARLEKIN.

Tfuw, do kata, czegom się ja głupi bledził? wszakci i u nas takie dobre sława przyjaciółom daia. posłuchay mię tyło, iak pięknie mówić będę. słuchaycie!.

SBRYGANI.

Słuchamy.

ARLEKIN.

Twarzyczka twoia iak iasny ogień w gwiazdach, oko twoie jedno iak słońce, a drugie iak miesiąc. nos zaś iako góra, na ktorey wiele może koz chodzić, czoło iak iaki zielone, mocy twoiey naysilniejszy byk nie wydola, szybkość twoia, iak u zająca bez ogona. Alboż to nie pięknie?

SBRYGANI.

Czy ofzalał? poczwaraiby to zemnie była. gdybym tak iak mowisz wyglądał, porzuć te żarty.

ARLEKIN.

To się to tobie nie podoba?

SBRYGANI.

I bardzo nie.

ARLEKIN.

Coż czynić, ja więcej nie umiem; z rozumu mię z wazemi wymysłami wybiłecie. Czy wiesz że co Sbrygani, pozwolmi nie co czasu do nauczenia się pięknych rzeczy, ktorých nie umiem, a tym czasem bądź moim przyjacielem.

LEANDER.

Będzie tobie Arlekinie dopomagał kom-



panii Shrygani iako dobry przyiaciel., czy widzisz ten dom?

ARLEKIN.

Widzę.

LEANDER.

Otoż tu z Sbryganim widywać się możesz.

ARLEKIN.

Dobrze, idźmyż pogawędzimy sobie, bocale nie mam się z kim zabawić, i od kogo się tej wafzey policyi nauczyć, bo mój Kapitan coś wszystko biega. no, poydziem.

LEANDER.

Ale nie zaraz, potym chyba nadeydziesz.

ARLEKIN.

A czemu nie teraz?

LEANDER.

Bo Sbrygani ma zabawy;

ARLEKIN.

Ale ja żadnych zabaw nie mam.

LEANDER.

Coż z tego, ale on ma, ty zaś być dyskretnym powinienes.

ARLEKIN.

Czy tego koniecznie potrzeba?

LEANDER.

Potrzeba;

ARLEKIN.

To i dobrze, przyidę potym... Sbrygani ha.. ha.

SBRYGANI.

Bądź zdrow Arlekinie.



## S C E N A V.

TADECIARZ. ARLEKIN.

TANDECIARZ.

Mci Panie.

ARLEKIN.

He...

TANDECIARZ.

Czy nie zechcesz czego odemnie. *Tandeciarz rozkłada towar.*

ARLEKIN.

Na coż ty mnie to ukazujesz?

TANDECIARZ.

Na to, żebyś W. M. Pan obrał, co się będzie podobało.

ARLEKIN.

Alboż mi to oddasz? co się mi upodoba?

TANDECIARZ.

Zochotą, ia fobie tego i życzę.

ARLEKIN.

Dopiero poznaię, że Kapitan prawdę mi mowił, i w słowku jednym nie skłamał... (*do Tandeciarza*) i tyż tak cały krai zbiegasz? szukając ludzi, którym by się terzeczy podobały.

TANDECIARZ.

Takto iest Mci Panie muszę. nic trudnego dla zysku.

ARLEKIN.

Co za poczciwi ludzie, i cale rzecz pię-



kna, tutejszych kraioŵ policya.

TANDECIARZ.

Noż Mci Panie, obacz W. M. Pan, i obierz,  
co się podobą.

ARLEKIN (*ogląda portrecik.*)

To coś dobrego? obaczę... a toż co?..  
Człowiek?.. iakże malusieńki?..

TANDECIARZ.

Albo nie piękny?..

ARLEKIN.

O! moyże ty malenieczki... ale iak on tu  
wlaźl ukata?..

TANDECIARZ.

Zartuiesz W. M. Pan:

ARLEKIN.

Poiąć nie mogę, żeby się tak mali ludzie  
naydować mogli, unas tak małego ani widać.

TANDECIARZ.

Na co te żarty? nie bawmnię W. M. Pan...

ARLEKIN (*do portrecika*)

Powiedz mi, iak się zowiesz?.. he... nic,  
nie mowi; utaił się... choć mały, ale frant?..  
ha.. ha.. ha.. nic ani oka nie mruży, ani śmie-  
ie się... A wiele lat maten człowieczek?

TANDECIARZ.

Naprzykrzony ieśteś żartami swemi, wi-  
dzisz W. M. Pan, że to nie człowiek; ale wy-  
obrażenie człowieka.

ARLEKIN.

To on nie żyje?..

TANDECIARZ.

Ani wątpić.

\* \* \*

ARLEKIN.

Szkoda, że tak młody, i piękny, a nie ży-  
ie.

TANDECIARZ.

Dość tych żartów Mei Panie, obacz W.  
M. Pan co się podoba, albo mnie odpraw; bo  
czasu nie mam.

ARLEKIN.

Coż? mnie się wszystko podoba.

TANDECIARZ.

Bierze W. M. Pan wszystko.

ARLEKIN.

To ty nie więcej mieć nie będziesz?

TANDECIARZ.

I owszem, Kupiec rad bardzo towaru po-  
zbywa.

ARLEKIN.

Ha?... to się ty pewnie kupiec nazywałeś.

TANDECIARZ.

Tak jest.

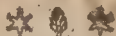
ARLEKIN.

Kątet jestem, że wiem o nazwisku tak po-  
czciwego człowieka... no. dayże, ponieważ  
tak chcesz... To mi to, dobroć bez przykła-  
du. Mam obligacyą Kapitanowi, że mię do  
tych pocziwych ludzi przywiozł:

TANDECIARZ.

Ale zaraz, stargnię się wprzody z W. M.  
Panem; co mi W. M. Pan dasz za to wszy-  
tko?





ARLEKIN.

zy- Ty mnie daiesz, bo masz; a ja ci nic nie dam, bo nic nie mam. I żałuję bardzo tego, bom jest z natury dobry człowiek, choć edukacyi wafzey nie mam, i nie policyi nie znam.

TANDECIARZ.

W. Musisz mnie W. M. Pan koniecznie zapłacić 500 Złoty.

ARLEKIN.

W. Zabli mnie kiedy choc mam ieden; nawet nie wiem, co to jest złoty?

TANDECIARZ.

po- Wroć że mi W. M. Pan towary?

ARLEKIN.

W. Ba... drwisz ze mnie.

TANDECIARZ.

W. Nie drwię, ale się swego dopominam... oddaj mi W. M. Pan, co jest mego, albo poydę na skargę.

ARLEKIN.

W. A do kogo?

TANDECIARZ.

W. Do Sędziego.

ARLEKIN.

W. Coż to za Jmość?

TANDECIARZ.

W. Jest to człowiek poczciwy, który postrzega sprawiedliwości, i każe czasem wieszać tych, którzy przeciw oney wykraczają. czy rozumiesz?



ARLEKIN.

Te gdybyś ty bardzo wykroczył, toby cię powieszono?

TANDECIARZ.

Pewnie.

ARLEKIN.

Pocziwieby, dobrze uczyniono... Jako widzę, ci ludzie, chyba poniewolnie dobremi się stają.

TANDECIARZ.

Zaniechaj W. M. Pan tych żartów, i mnie albo zapłać, albo wroć towar.

ARLEKIN.

Wierz mi, że nie znam, czego chcesz ode mnie?... Day mi złote,.. Zapłać mi za towar.. Co to za mieszanina? co za słowa?

TANDECIARZ.

I do niešťczęściał iuź się mi te żarty uprzykrzyły.

ARLEKIN.

Słuchay, czego się ty gniewasz? wszakęś mi sam dobrowolnie z przyjaźni twoi towar offiarował? wzięłem go, żebym się tobie przyśłużył, i fatygi dłuższey w obieganiu wielu krajów, uiał... a teraz niewiedzieć za co się rzucaś?... Fe, to nie pięknie... Mówiłem żeś człowiek pocziwy, a teraz powiem, żeś nie pocziwy.

TANDECIARZ.

Dość że tych drwin! iuź widzę, że ieśteś wierutny hultaj! słuchay! ieśli mi mego nie wrocisz, to cię!...



ARLEKIN.

I nie wrocę, i wprzod ia ciebie! (*bie..*)

TANDECIARZ.

Czy tak to płacił? Gwałt!... Złodziey! złodziey!

ARLEKIN.

Krzycz iak chceś! od tobie zapłać, złote!

TANDECIARZ.

Gwałt ratujcie!

ARLEKIN.

Muszę mu łeb odrzeć.

TANDECIARZ.

Ah ia nieszczęśliwy, zginolem!

## S C E N A VI.

ARLEKIN *Sam ieden.*

(*Peruka z głowy Tandeciarza uciekającego zdarta, zostaje na teatrum*)

Aha.. ha.. ha... Zapłaciłem mu dobrze, będzie kontent. a toż co?... czy to bestya iaka z ogonem?... tyłkasz niemasz nog, i gęby... a prawdziwie to ia temu hultałowi włosy odarłem? któż mu winien, czemu się one nie trzymały na głowie, ia zdami się i nie mocno pociągnolem, a otoż zerwałem! aha.. ha.. ha.. teraz głowa być musi iak kolano tyściuteńka!... (*Przypatruje się krążąc*)



*perukę*) Co ulicha ten włos nie jest naturalny?.. to nie skura?.. Jako widzę, ludzie tutaj si nie są w rzeczy takimi, iakimi się być ukazują, i wszystko u nich cudze: dobroć, mądrość, grzeczność, same nawet włosy. Prawdziwie zaczynam się obawiać, kiedy myślę, że mi z takimi ludźmi obcować koniecznie przychodzi. Poydę do Kapitana, spytam się go, co to w tym wszystkim za tajemnica?..



## A K T II.

### S C E N A I.

ARLEKIN ZOŁNIERZE TANDECIARZ

*Nadchodzi.*

ARLEKIN.

Kapitan uidaie przedemną, że ludzie w tym kraju są bardzo dobrzy, a ia ich złośliwemi być doświadczam.

ZOŁNIERZE *nadchodzący,*

Cyt.. cyt.. nie ten to ptaszek?... coś podobny do tego hultaia, ktorego nam ukrzywdzony Tandeciarz opisał; zagabnimy go.. (do *Arlekina*) witay bracie!

ARLEKIN.

Witay Bracie ( *Krążąc koło nich, przypa-  
truie*





*trwie się im*) Tym szyfzom nic dobrego z oczu nie wygląda.

ZOŁNIERZ.

Czy nie postrzegłeś Tandeciarza tędy przechodzącego?

ARLEKIN.

Tandeciarza? co się to nosi z towarem?  
dla oizukania przechodzących.

ZOŁNIERZ.

Może i to być.

ARLEKIN.

Niski, i niby człowiek.

ZOŁNIERZ.

Człowiek niski.

ARLEKIN.

Aha.. ha.. widziałem go, wycioł on mnie niedawno figiel nie mały.

ZOŁNIERZ.

Co za złodziey!

ARLEKIN.

Wyciął mi figiel okrutny, ale mi dobrze za to przypłacił, bo ja z siebie żartować nie daię.

ZOŁNIERZ.

Pocziwie czynisz... co to za hultay! on zaś przeciwnie przed nami powiedział? żeś mu towar bez zapłaty odebrał.

ARLEKIN.

On wam powiedział?

ZOŁNIERZ.

Tak jest.



ARLEKIN.

To i dobrze, prawdę powiedział;: a toż czy powiedział, żem go do woli nabił, natłukł.

ZOLNIERZ.

Jakże nie? wszystko to doskonale przeżył.

ARLEKIN.

Rzecz dziwna! nie spodziewałem się, żeby ten hultaj tak był rzerelny, i wszystko wam prawdziwie powiedział... On niewolany, nie proszony, dobrowolnie swoy mitowar ofiarował, i tak mi się naprzykrzył, że dla przyślugi jego ow ten towar musiałem przyjąć. Aż ow ofzuś chciał, żebym mu dał złote, ja gdybym je miał, dał bym mu całym sercem, ale ich nawet nie znam. On się oto rozgniewał, i towar raz dany konieczniew chciał odebrać. Tym swoim niegodziwym postępkim, tak noję tę Osobę rozgniewał, iż nie cierpiąc dalszych drwin, zbiłem go na gorzkie iabko.

ZOLNIERZ.

No.. no.. bardzo dobrze.

ARLEKIN.

Owoż i on... słuchaj hultaju, ofzuście nie-poczeiwyy, nie prawda to? żeś sam dobrowolnie przyzedł, i towar mi twoy ofiarował?

TANDECIARZ.

Prawda. coż z tego?... Mci Panowie ten to złodziey!



ARLEKIN.

Ze ja ten towar wzięłem?

TANDECIARZ.

Prawda.

ARLEKIN.

Ześ ty potym domagał się nazad towaru, albo złotych?

TANDECIARZ.

Nie inaczej, chciałem zań 500. Złotych, bo ta była cena jego.

ARLEKIN.

Posłuchajcie tu tylo, czy nie mówiłem ia tobie, że niema, ani znam tych złotych.

TANDECIARZ.

Mowiłeś.

ARLEKIN.

Mówiłem i to, że niechcę ci wrocić towaru.

TANDECIARZ.

Prawda.

ARLEKIN.

Czy nie rozgniewałeś się oto, iż złotych nie miałem, i że ci towaru oddać nie chciałem?

TANDECIARZ.

Pewnie, zem się rozgniewa; alboż nie słusznie?

ARLEKIN.

Słuchajcie tylko Panowie, słuchajcie; czy nie dałem ci zamiast 500. Złotych, 500. kiliow?

Ci



TANDECIARZ.

Gdybym o tym zapomniał, boki by to  
moje łatwo mi przypomniały.

ARLEKIN.

Otoż tedy widzicie Mci Panowie, żem i  
w słowku nie skłamał? wszakem go za język  
nie ciągnął.

ZOŁNIERZ.

Widziemy.

TANDECIARZ.

Mci Panie nie trzeba innych dowodów,  
sądźcie o nim z własnego jego wyznania.

ZOŁNIERZ.

Wiemy o wszystkim doskonale, naydzień  
dla siebie sprawiedliwość.

ARLEKIN.

Słuchaycie, ten ożust tylko połowę miał  
edukacyi znać, a nie całą, wiecież co ja uczy-  
nię?

ZOŁNIERZ.

Coż takiego?

ARLEKIN.

Myślę puić do Sędziego, o którym on  
mnie mówił, żeby go nauczył, i doskonalszą  
mu dał edukacyą.

ZOŁNIERZ.

Dobrze, podźże znami, zaprowadzimy  
cię do Sędziego.

ARLEKIN.

Dopiero iść nie mogę.

ZOŁNIERZ.

Musisz iść, bo tego potrzeba.



ARLEKIN.

Już mówię że nie mogę, mam zabawy.

ZOŁNIERZ.

Czy frant, czy głupi być musi... Odłóż te zabawy na inny czas.

ARLEKIN.

Oh nie, niemogę, bo nagle się, dałem słowo przysięgi, muszę wraz do niego pospieść.

ZOŁNIERZ.

Dość tych żartów, drwisz głową braciśku?.. niewiniątkiem się czynisz, a w rzeczy jesteś lotr, i frant. znam cię, idź mi zaraz.

ARLEKIN.

A toż co znaczy?

ZOŁNIERZ.

To znaczy, że trzeba iść do kozy.

ARLEKIN.

Coż to koza? to nie straszna być musi bestya?

ZOŁNIERZ.

Doświadczyś, czy straszna, czy nie.

ARLEKIN.

Ale ja iść nie chcę.

ZOŁNIERZ.

Niechcesz? to cię zaprowalają.

ARLEKIN.

Słuchajże, nie gniewaj mnie, bo poproszę sąziego, żeby to i dał słuszną naukę.

ZOŁNIERZ.

Nic to, idź tylo, da on tobie naukę, po ktorey drugiey potrzebować nie będziesz.

ARLEKIN.

Ja tego ani chcę, ani potrzebuje, Kapitan  
moy nauczmy się wszystkiego.

ZOŁNIERZ.

Opóźnił się Kapitan z nauczka swoją.  
Ty zaś bądź pewny, iż jutro o tym czacie  
podobno na gałęzi zawisniesz.

ARLEKIN.

Ja?

ZOŁNIERZ.

Tak jest, ty.

ARLEKIN.

A za co?

ZOŁNIERZ.

Za te cnorki, ktoś dopiero wyśpiewał

ARLEKIN,

Śluchaj szyszu, jeśli mię więcej napasto-  
wać będziesz, ubije ciebie, i tych wszystkich  
hultaio w towarzyszow twoich.

ZOŁNIERZ.

Bierzcie go.

ARLEKIN.

No, spróbuj tylko, weź, no weź *Biorą,*  
*on się opiera.*

## S C E N A II.

LELIUSZ. ARLEKIN. ZOŁNIERZE.  
TANDECIARZ.

LELIUSZ *na stronie.*

Wszak to Arlekina ci Zolnierze schwy-  
tali, musiał wczymkolwiek zabredzić... (do



*Zołnierzy*) Mci Panowie, do kąd człowieka  
tego prowadzicie? do mnie należy.

**ZOŁNIERZ.**

Złodzieia na wolney drodze ludzi rozbi-  
jaącego, do kozy prowadziemy, oto tego  
Tandeciarza, dopiero okradł.

**TANDECIARZ.**

Tak jest Mci Panie, okradł mię.

**ARLEKIN.**

Ach! nieszczesny Kapitanie; żeby cię li-  
ch. wzięło, i ze wszystkimi pocziwami  
ludzi kraiu tego; ktorzy politycznie rze-  
czy ofiarują, dla uknowania zdrady, ażeby  
niewinnego obwieścić mogli.... ah! zdrayco!  
czy na to żeś mię z tak daleka sprowadził?

**TANDECIARZ.**

Niewiniątko, iaki frant? chciałem mu nie-  
dawno towar moy zbyć, on go zaś wzią-  
wszy. wmawiał we mnie, że'm mu go dar-  
mo ofiarował. Udawał na ostatek, iakoby  
pieniędzy nie znał, i zamiast pieniędzy kiem  
mi zapłacił.

**LELIUSZ.**

Och, Mci Panie, ten człowiek dopiero  
ze mną przybył, jest dzikim Amerykaninem,  
kory nie zgoła nie wie o zwyczajach na-  
szych. Dziś tedy dla uciechy moiej żartując  
z prostoty iego, powiedziałem mu, iż w tych  
kraiach wszystkiego bez trudności dostać mo-  
żna od ludzi, ktorzy sami nie proszeni ofiarują  
wszystko, nie dodałem, że za pieniądze. On  
tumu z prostoty, inlzey wiadomości nie ma-

iac uwierzył. Zaczyniam być bezwinną  
przezwana występku jego, chcę nadgrodzić.  
Powiedz mi, w czym cię ukrzywdził? iaci  
to zupełnie wroce.

ZOŁNIERZ.

Jeśli tak jest, on tedy nie winien, zapłać  
tyło Mci Pan temu Kupcowi, a uwolnisz  
człowieka swego.

TANDECIARZ.

Niech tylko jegomość wroci moi towar,  
ja niczego więcej nie żądam.

LELIUSZ *do Arlekina.*

Masz że jeszcze rzeczy, któreś mu ode-  
brał?

ARLEKIN.

Mam, ale się ich zrzekam, niechcę nic  
mieć od takiego hultaia, iako on jest, na zli-  
chem.

ZOŁNIERZ.

To krótka sprawa.

TANDECIARZ.

Jesteśmy już wszyscy uspokoieni (*do Leliusza.*) ale W. M. Pana Amerykanin, nie-  
wiem, czy się całę uspokoił? Radbym mu  
wrocil kilkadziesiąt kłiw, które mi dał, że-  
by mię potym nie kłocił.

ARLEKIN.

Ale ja niechcę, rzetelny jestem, kiedy co  
dam na zawzse bez żadney pretenzyi dając.

ZOŁNIERZ.

Kłaniamy się W. M. Panu.





ARLEKIN.

Idźcie, idźcie do wszystkich katów, choć  
na złamanie szyi; - a ty Panie Tandeciarzu bo  
day żebyś trafił na szubienicę.

## S C E N A III.

LELIUSZ. ARLEKIN.

LELIUSZ.

Już że się doprawdy rozgniewał. muszę  
się z nim do woli ucieńczyć... Arlekinie! al-  
boż to nie dobry kraj? czy nie uczynni i po-  
czciwi w nim ludzie? co rozumiesz?

ARLEKIN (*na jego patrzy, nic nie mówiąc*)

LELIUSZ.

Milczyysz? powinienbyś mi podziękować,  
żem cię z turmy oswobodził.

ARLEKIN.

Niechby лихо wzięło turmę, ciebie, Bra-  
ci twoich, i Ojczyznę twoję!

LELIUSZ,

Czemuż mi tak złorzeczył?

ARLEKIN.

Zebym się zemścił krzywdy, którąś mi  
uczynił, przywożąc mię do kraju policyi  
prawem rządzącego się, gdzie pod pokryw-  
ką dobroci, i uczynności, ktorey nie masz,  
zaślawiacie fidla na zdradę tych, których  
ułować chcecie... dopiero poznaię, że tu  
wszystko jest obłudą! oy nie tak w lasach  
Amerykańskich!



LELIUSZ.

Nie dziw, że tak ładnie, bo nie wiesz jak ludzkość, i rzetelność naszą poznawać należy.

ARLEKIN.

Kłamcą jesteś, i po wszystkim!... ale mów sobie, ponieważ cię język swierzbij, iakoż jestem ciekawy, czym mię przewiedziesz, że ten Tandeciarz nie jest oszustem?

LELIUSZ.

I bardzo łatwo przewiodę. Słuchaj, nie żyjemy w tych krajach w pospolitości, iakoż wy w lasach waszych; tu każdy ma swoją własność, i nie wolno nikomu cudzego, tylko swego dobra używać, na którego utrzymanie prawa są postanowione, które karzą tych, którzy cudze rzeczy bez zapłaty przywłaszczają; w czym iżeś wykroczył, słusznie ci szubienicą zagrożono.

ARLEKIN.

Dobrze... a czymże płacić te rzeczy cudze, które biorą?

LELIUSZ,

Pieniądzmi.

ARLEKIN.

Coż to są pieniądze?

LELIUSZ.

Oto, to.

ARLEKIN.

To zaś pieniądze? śmieszna rzecz? (chcę ugryść) Czy licho jak twarde.

LELIUSZ.

Pieniądzy nie iedzą.



ARLEKIN.

Coż z niemi robią.

LELIUSZ.

Wydaią ie za rzeczy, których potrzebu-  
ią. I możnav ie kaucyą nazwać, ponieważ  
z tymi pieniędzmi dostać można wśzystkie-  
go, czego żyw chcesz.

ARLEKIN.

Coż to kaukcyą?

LELIUSZ.

Kiedy kto naprzykład dał słowo, a nie  
wierzą mu, dla więkfzey pewności domaga-  
ią się od niego kaukcyi, to iest człowieka  
drugiego, któryby zadość uczynił obietni-  
cy, gdyby się pierwszy w słowie nie stawił.

ARLEKIN.

Ah! co ia słyszę, oddał się odemnie.

LELIUSZ.

Czemu?

ARLEKIN.

Bo niechcę mieć sprawy z ludzmi, kto-  
rzy kaukcyi potrzebują.

LELIUSZ.

Ale ia rzetelny iestem, kaucyi nie potrze-  
buję.

ARLEKIN.

Ja o tym nie wiem, i chciałbym kaucyi  
na to, żeby ci wierzyć mógł po tylu kłam-  
stwach, ktores przedemną udał.

LELIUSZ.

Masz tedy kaucyą (daie mu pieniądż)

ARLEKIN.

Ale ten pieniądż nie iest człowiekiem, a

zatem słowa dać nie może, iakże tedy kaucyą będzie?

LELIUSZ.

Jest jednakże kaucyą, i lepszy jest, niż ktoregokolwiek dane słowo.

ARLEKIN.

Znać, że nie wiele warto waſze ſłowo. Ani ſię dopiero dziwnie, żeś przedemną tyle razy nałgał. Ale mię więcej nie oſzukiwaj; bo ieſli chceſz, żeby mi wierzył, day mi kaucyą.

LELIUSZ.

Wieſz tedy z tego, com rzekł dopiero, że tu nic darmo nie doſtać. ale wſzyſtko przez zamianę nabywają. Otoż dla ulatwienia tej zamiany, wynaleziono pieniądze, które ſą niſby poſpolitym, i powszechnym towarem, który ſię zamienia, na wſzyſtkie rzeczy, i z tymi wſzyſtkiego, czego chceſz, doſtanieſz.

ARLEKIN.

Czy podobna, żeby za te fraſzki wſzyſtkiego doſtać?

LELIUSZ.

Otoż doſtać.

ARLEKIN.

Ale iak to być może, ponieważ ich ani ieść, ani pić nie można.

LELIUSZ.

Ieść ie i pić nie można, ale za nie ieść, i pić doſtać można.

ARLEKIN.

To ſmieſzne waſze zwyczaje, nie ſą może tak całe złe, iakom z razu o nich ſądził...





To tedy pieniędzy mieć potrzeba, żeby  
wszystkiego bez starania, i trudu nabyć?

LELIUSZ.

Tak jest, mającemu pieniądze, na niczym  
nie zeydzie.

ARLEKIN.

Moim zdaniem wynalazek ten jest bardzo  
dobry. Czemżeś mi tego dawniey nie mo-  
wił? nie byłbym popadł w niebezpieczeństwo  
zawieszenia na szubienicy... nauczże mię  
czym prodzey, gdzie te pieniądze rozdają?  
żebym się w nie opatrzył.

LELIUSZ.

Nie rozdają ie, iako żywo.

ARLEKIN.

Powiedzże mi gdzie ie mam wziąć?

LELIUSZ.

I wziąć nie możesz.

ARLEKIN.

Pokażże iak ie mam robić?

LELIUSZ.

Choway Boże! wisiałbyś zapewne, gdy-  
byś choć jeden pieniążek zrobił.

ARLEKIN.

A iakże ie mieć.... nie rozdają, nie biorą,  
zrobić nie wolno.. Ja tego nie rozumiem.

LELIUSZ.

Zaraz ci wytłumaczę; dwoiacy ludzie są  
między nami: bogaci i ubodzy. Bogaci mają  
pieniądze, ubodzy zaś nie mają.

ARLEKIN.

Dobrze.



LELIUSZ.

Zaczym, żeby i ubodzy mieli, muszą pracować dla bogatych, którzy im udzielaią tych pieniędzy wedle roboty, i zaślugi ich.

ARLEKIN.

A coż bogaci robią? kiedy ubodzy za nich pracują.

LELIUSZ.

Spia, przechadzaia się, i przepędzaią życie w wygodach, i dostatkach.

ARLEKIN.

Wielkie to szczęście bogatych.

LELIUSZ.

Szczęście to, które postrzegasz, częstokroć przyczyną im iest wizerelkich przykrości.

ARLEKIN.

A to iak?

LELIUSZ.

Bo bogactwa mnożą wraz potrzeby ludzkie, ubodzy pracują, ażeby mieli tyle, ile im do własnego obeyscia iest potrzeba. Bogaci zaś wszystko obracaią na zbytek, który iest u nich bez mierny dla pychy, rozrzutności, i próżności, które ich nadymaią. Praca i nędza rodzi się u nich z własnych ich dostatkow.

ARLEKIN.

Jeśli to tak iest, tedy bogaci uboższy są od samych ubogich, ponieważ im na wielu rzeczach schodzi.

LELIUSZ.

Dobrze mowisz.



ARLEKIN.

Ale; ale... ja pieniędzy nie mam, czy dla tegoż ubogim jestem?

LELIUSZ.

Pewnie, że jesteś.

ARLEKIN.

Co zaś? i jaż będę musiał tak pracować dla bogatych. jak ci nieszczęśliwi dla wyżywienia swego.

LELIUSZ.

A iakże, chyba, że z głodu chcesz umrzeć.

ARLEKIN.

A niech że cię choroba weźmie!... na coż tedy oszuście niencziwy wyciągnąłeś mię z Ojczyzny moiej? czy na to, żebym ubóstwa doświadczył. Gdyby nie ty, nie znał bym go byłaż do śmierci. Nie znalazem ja w oyczyfłym lesie ani bogaćstwa, ani ubóstwa, byłem sam sobie Królem, Panem, i sługą moim, a tyś mnie niegodziwie wyprowadził z tak szczęśliwego stanu, na nędzę, i niewolą wyprowadził. Mowże teraz złoczyńco! człowieku bez wiary i miłosierdzia.

LELIUSZ.

Nie troszcz się moy miły Arlekinie, Ja jestem bogatym, i dam ci wżyfko, coć będzie potrzeba.

ARLEKIN.

A ja niczego od ciebie nie chcę, ponieważ nic tu darmo nie dajecie. ja zaś niemając pieniędzy owego to czarta, który was



wszystkich opętał, nie ci dać nie mogę: zechcesz pewnie, żebym ci się iam oddał, i był twoim niewolnikiem, iako ci nie szczęśliwi, którzy ci służą? Ja chcę być człowiekiem wolnym, i nie więcej... Odwież mię tedy tam, zkażeś mię odprowadzić, ażebym w Ojczyźnie moiej zapomniał, iż są bogaci, i ubodzy na świecie.

LELIUSZ.

Nie troszcz się, nie będziesz moim niewolnikiem, będziesz szczęśliwym, daę słowo.

ARLEKIN.

Piękne słowo, które bez kaucyi i tego nie warte.

LELIUSZ.

Damże ja tobie kaucyą (*daie pieniądze*)

ARLEKIN.

Ponieważ tak, otoż mimo nienawiści, którą mam ku tym kraiom, obiecuję szczerze, choć bez kaucyi zostać dla twoiej przyiaźni, i nieiakiemu Sbriganiego, z którym dopiero wielką mam poufałość.

LELIUSZ.

Dla Sbriganiego mówisz? Sbrigani, iak pomnę, zwał się sługa Stryia moiego Leandra. Prawdziwie, iego to podobno pierwey napotkałem.... Gdzieżeś się widział z tym Sbriganim?

ARLEKIN.

Tam gdzie mię nie dawno potkał.

LELIUSZ.

Jakże on wygląda?

LELI.



ARLEKIN.

Dobry jest człowiek.

LELIUSZ.

Czy był wyfoki?

ARLEKIN.

Nie, nie wyfoki.

LELIUSZ.

Czarniawy?

ARLEKIN.

Tak jest.

LELIUSZ.

Czy był sam ieden?

ARLEKIN.

Nie, był z drugim, trochę starszym, i jeszcze iednym siwcem aha. ha. ha. gdybyś go widział, pękałbyś się od śmiechu! miał suknię czarną, czerwonym podszytą, noż miał u pasa, brodę długą, nos potężny, potężny. ha. ha. ha. nigdy nie widział postaci tak śmieszney.

LELIUSZ.

To istny kształt Pantalona, Oycy moiego, Pantalona, i Maryusz z nim być musia!... Co by tu oni porabiali?.. niezdolna ferce moie trapi alteracya! zdrady obawiam się. o Nieba? oddacie odemnie tak nieszczęśliwe razy! muszę się o wżyszkim czym prędzey wywiedzieć.

ARLEKIN.

Co ty mówisz?

LELIUSZ.

Nic.





ARLEKIN.

Z wielką mi trudnością przyjaźń Sbryganiego przyszła, choć ielczce zupełna nie jest, bo mi się wprzód pięknych, i gładkich słow, nazniewolenie chęci jego, nauczyć kazano; bo w tych krajach tak przyjaciół jednają. Czy prawda?

LELIUSZ.

Tak jest.

ARLEKIN.

Czy mnie nauczysz?

LELIUSZ.

Podobno u fryjia dolki podemną kopie...

ARLEKIN.

Coż to sam z sobą mówisz? porzuć tego hultaia, a mow zemną.

LELIUSZ.

Tak, tak.

ARLEKIN.

Tak, tak.. oszalał!.. Coż, nauczysz że mię, tych pięknych i gładkich słow?

LELIUSZ.

Dobrze. potym,... serce moje coś złego przeczuwa, muszę do fryjia pośpieszyć....

## S C E N A IV.

LELIUSZ. MARYUSZ. ARLEKIN.

LELIUSZ.

Co ja widzę?... oczy mi łudzą?... tak jest. Brata potykam Maryusza... Mci Panie tym większą, im mniey spodzianą łaskawe minie-

ba nadarzaia pociechę, gdy mi się dopiero  
tu przybytemu nad w zółkie mniemanie z  
W. M. Panem witać, i kochanego Brata po  
długim nie widaniu uczynić przytrafia.

MARYUSZ (zmieszany.)

Przebog! co ja widzę!

LELIUSZ.

Ah! iak szczęśliwa to dla mnie pora, kto-  
rey gdy mi najmilszego mego brata oglądać  
i ucałować się godzi, wszelki na tychmiał z  
przeżytych nieszczęśliwych przypadków  
smutek myśl moję opuścza, a na to miey-  
sce niezmierna radość i wesele następuje.

MARYUSZ.

Wiem co uczynię... Mci Panie, długie  
nie widanie gotowe nie poznanie. Dla cze-  
go niech mi się godzi zpytać kto, i co za ie-  
den jesteś?

LELIUSZ.

Kto, i co za ieden jestem? mamli temu  
wierzyć, iż po siedmiu leciech niewidania,  
rodzonego twego nie poznaiesz?

MARYUSZ.

Leliusza zaś, rodzonego mego? w osobie  
W. M. Pana mam poznawać? Mci Panie za-  
niechay proszę tych niewczelnych żartów

LELIUSZ.

Martwisz mię nieślusznie zmyślną dyf-  
mulacyą Braciłzeńku, i dla twey uciechy  
rozkwilałś serce, taką w przyjęciu brata obo-  
jętnością, urażone.



MARYUSZ.

Proszę, co za bez wstydu importum, ze mną się śmieć bratać?

LELIUSZ.

Proszę, iak nie użyte serce!

MARYUSZ.

Mci Panie, widzę, że guza szukasz, nadydziesz go upewniam, jeśli mię dłużej napasłować będziesz.

LELIUSZ.

Już to nie żarty, Panie Bracie, także to brata przywitanie?

MARYUSZ.

I jeszcze się zemną bratać poważasz? patrz, żeby tak zbytńia konfidencya grzbiotowi nie szkodziła... Precz mi z oczu włóczęgo! albo!...

LELIUSZ.

Prawda, że mię przeciwna fortuna włóczęgą do czaśu być przymusiła. Wszystko w nawałności utraciwizy, przebiegłem kąty świata w nędzy i uboświe. Ztym wszystkim Bratem twoim być nie przestałem, ile gdym w tak nieszczęśliwym stanie, przy pocciwości stojąc, na tak nie ludzkie od własnego Brata wyrzekanie się natrafił... Ale rozumiem Panie Bracie, coć to nasze przywitanie tak nieprzyjemne czyni?... Fortunka cię pewnie stryiwka z wrodzoney wyzuła ku Bratu chęci? Nadzieia, za przybyciem moim omyleła, zdrada, którąś uknował niedokończona skutecznie, tak nie ludzki frzodek, dopię-



cia tak niegodziwych zamiarów tobie poda-  
ły. Wiedz jednak, że i te szyki połamać po-  
trafię. Spieszę do Stryia, i upewniam, że tym  
powidaniem wszelkie dalszych nadziei prze-  
tnę pasy. Idę.

MARYUSZ.

Nie przerwiesz, bo za jednym krokiem,  
który uczynisz, w feru żelazo utkwię.

LELIUSZ.

Śmiercią mi jeszcze grozisz? zdrayco!

MARYUSZ,

Tak jest, zginiesz! albo precz z miasta  
ustąpisz,

LELIUSZ.

Z Miasta? by namniey nie ustąpię, śmier-  
cią zaś, którą mi grozisz, pierwszy pole-  
gniesz..., wychodź zdrayco okrutny!..

ARLEKIN (rozbrania)

Ah! a. toż po iakiemu? stoicie, co czyni-  
cie!

LELIUSZ.

Umykay!

MARYUSZ.

Przebię cię, jeśli mi nie ustąpisz?

ARLEKIN.

A ja was obudwu ubię!.. oto piękni przy-  
jaciela, ktorzy się nayprzod pięknie witają,  
a potem się zabijają.

LELIUSZ.

Ustąp! jest tego przyczyna.

ARLEKIN.

Ala iaka? chce o niey wiedzieć, inaczej  
nie ustąpię.

Nie zbędziem go inaczej. trzeba mu powiedzieć. Oto, Strvi w tym mieście osiadły zapisał mi fortunę swoją; Ten zaś, którego widzisz, brat mi podejście czyni. chcąc mi tę fortunę wydrzeć, i dla pewniejszego swych замыслов wykonania mnie się, iako by mię nie znał, zapiera.

ARLEKIN.

I tak który drugiego zabije, ten fortunę od Strvia weźmie?

MARYUSZ.

Tak jest, umykaj!

ARLEKIN

Co za szaleni ludzie! Uchawcież, a wiecież komu Strvi ją odda? wszak on jednego z was kochać musi, więc nim się bić będziecie. spytajcie się go pierwej, którego zabić każe.

LELIUSZ.

Ale bo!..

ARLEKIN.

Ale bo dziwak jesteś. Bo jeśli on tego bardzo kocha, a ty go zabijesz, w wielką u niego nienawiść popadniesz, a zatym cię i z fortuny zkwitnie. Coż ty nato?..

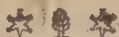
LELIUSZ.

Zdami się, że nie od rzeczy mowi.

MARYUSZ.

Bluźnisz niecnoto! właśnie mi statysta do porady? nic z tego! tak podłych myśli nie





przypuszczam. Ustąp z miasta, albo wraz z  
tym, co ci radzi, zginiesz!

ARLEKIN.

A ja cię rozplątam.

MARYUSZ.

Jeszcze mi nie milczyś? przypłacisz  
wraz tej śmiałości! uganiam się za Arlekinem.  
*W tym wybiegają Żołnierze na hałas w szczę-  
ty.*

## SCENA V.

LELIUSZ. MARYUSZ. ARLEKIN.

ZOŁNIERZ.

*Przypatruie się Żołnierzom Arlekin.*

ZOŁNIERZ.

Co to, za hałasy? wpośród miasta wznie-  
cacie?

LELIUSZ.

Zagabniony od tego zdrajcy, szpady na  
obronę życia dobyć musiałem.

MARYUSZ.

Na wolnej drodze idącego, ci włóczę-  
gowie, z kądlis przybyli łotrowie mię opa-  
dli, z dobytą bronią od napaści ich bronić  
się musiałem.

LELIUSZ.

Napaścią zowiesz braterskie powitanie?

MARYUSZ.

Braterskim powitaniem zowiesz, siłutow-  
ski na oszukanie przemyśł? Mci Panowie,  
nie wiem czego ten olzuit odemnie żądał



Bratem się moim czyni, i to mi gwałtem wyperśwadować usiłuje. Nie wiem, co za projekt pod tą, którą udaie figurą, sobie ułożył; ia się zdrady od tak przewrotnego człowieka obawiam. Więc upraszam, ażebyście tego, nieznaniego włoczęę do czasu w ścisłym więzieniu osadzili; upewniam, że tym sposobem wiele złemu, które w tym mieście zamyśla, zabezpieczy; Ja z moiej strony za bezpieczeństwo, które mi przez osadzenie tego filuta, obwarujęcie, nadgrodzić wam znaczenie obiecuje.

LELIUSZ.

Mci Panowie nie słuchajcie, coten kłameca bezwstydnym przed wami udaie; Jestem Brat iego. Dopiero do portu waszego przybyły, czemu, iż on bez wstydnie przeczy, nie ia, ale on na mnie filutowskie zdrady knować musi,

ZOŁNIERZ.

Proszę doić sprawy? ieden na drugiego przyczynę tumultu zwała. Potrafię ia z was prawdę wyczerpnąć, idźcie oba do Kmędy!

LELIUSZ.

Aiaż za co? takż to samych stróżów sprawiedliwość?

ZOŁNIERZ.

Co? nie sprawiedliwość wierutny łotrze śmiesz zadawać? przyplacisz tej śmiałości na skurze twoiej! prawdziwy filut być musisz! oto niedawno twoy kolega takż figiel chciał kupcowi wyciąć? bierz go!

Zawsze tego konfliktu ludzie śmielszemi są do potwarzy, radzę tego filuta nadobrym mieć oku. I iabym przed kommendą wraz stanął, gdyby mi interesa pozwalały. Wszakże mnie nie dopiero znacie, i Stryia moiego Leandra, i kiedy tego będzie potrzeba, to mnie przed urząd wasz powołacie; a tego tym czaſem łotra do kozy zaprowadźcie. Mnie zaś iako nie dopiero zſaiomemu czaſu do dokończenia pilnych zabaw pozwolicie. Stanę upewniam, ſkoro ſię uwolnię przed komedą.

LELIUSZ.

Co za nie ludzka obłuda!... Mci Panowie, albo obudwu nas do komedy na rozprawę wiedzcie, albo mnie uwolnicie.

ZOŁNERZ.

Milcz, ia tego poczwiwego człowieka znam nie dopiero, ieſzeze tu tylekroć będąc w niczym takowym nie był poſzlakowany. Ty zaś włoczego, zkađ, i poci przybudeſ? Podź znami, i ſprawisz ſię o tym w kozie.

LELIUSZ.

Ale Mci Panowie!

MARYUSZ.

Proſzę go ſciſle pilnować, wraz ſię zſnim powrociwſzy rozprawę.

ARLEKIN.

Ho! ho! to pewnie ci ſzyſzowie Kapitana na ſzubienicę prowadzą, muſiał wczym porwric ſprawę! aha! dobrze tak, brali i oni



mnie, chcia! obwie!ć, dobrze tak tobie,  
oto! mowi!e! !e u was s! pocciwi ludzie?  
ciesz si! teraz z ich pocciwo!ci!

LELIURZ.

Ktoby si! spodziewa!, !eby tak Brat ro-  
dzony by! niepocciwy...

ARLEKIN.

Trzeba go uwolni!, bo i on mnie w ta-  
kim razie uwolni!... Hey Mci Panowie! do-  
k!d tego cz!owieka prowadzicie? on do  
mnie nale!y!

ZOŁNIERZ.

Czy nie twoiego pu!ku? zowie si! holtay!

ARLEKIN.

Je!li was wezym ukrzywdzi!, wraz to  
wroc!, tylko go nie wieszaycie, bo dobry  
cz!owiek.

ZOŁNIERZ.

Co! to za !mialek? we!mi tego i!eszcze  
hultaia!

ARLEKIN.

Maf!e (do Leliusza) i!eszcze rzeczy,  
ktore! tym szy!szom odebra! mow!e, bo  
ia kiedy wrocilem, com by! wzio! od Tan-  
deciarza, to oni mi!e wraz pu!cili, wiesz?

ZOŁNIERZ,

Czy ofzala!

LELIUSZ.

Porzu! te !arty Arlekinie.

ARLEKIN.

Id!e sobie, kiedy chce!z konieczn!e wi-  
!e!e!... Ale szkoda go pocciwy cz!owiek,



żeby go iak ośwobodzić?.. To bieda, że ia  
policyi tuteyszy nie umiem, uwolnić go nie  
potrafię!... Ale otę Skapino, muszę się oto  
z nim naradzić.

## SCENA VI.

SKAPINO. ARLEKIN.

SKAPINO.

Gdzie Pan Arlekinie?

ARLEKIN.

Może już dopiero i na szubienicy.

SKAPINO.

Co bredzisz? pytam się dokąd Pan poszedł?

ARLEKIN.

Poszedł, i nie poszedł, bo go zaprowa-  
dzono,

SKAPINO.

Kto, i dokąd?

ARLEKIN.

Kto?.. szyszowie iacyś, których żołnie-  
rzami nazywacie.

SKAPINO.

Zartujesz, do kad że go zaprowadzili?

ARLEKIN.

Gdzie i mnie nie dawno zaprowadzić  
chcieli: na szubienicę.

SKAPINO.

Co ty mówisz?

ARLEKIN.

Oto, dobrze mówisz, czy ty mnie



wierzyfz?.. maſz kaucyą tey prawdy, ale ia  
i bez niey rzetelnie mowię.

SKAPINO.

Zarty na stronę, powiedz kędy Pan? bo  
mam ſię z nim pilnie widzieć.

ARLEKIN.

Jużem powiedział, boday czy nie na ſzu-  
kienicy, ia kłamać nie umiem.

SKAPINO.

Ale Arlekinie..

ARLEKIN.

Ale Skapino, wierz mi; chciałem go  
uwolnić, ale ſię nie udało, i mnie ſamego  
obieſić chcieli. Naucz mię a uwolnim go.

SKAPINO,

Ja z nim ſię dziś nie rozmowię?... Powiedz  
mi, co ſię z Panem ſtało?

ARLEKIN.

Dopiero nie wiem co ſię z nim ſtało. bo  
ſom uciekać muſiał,

SKAPINO,

Coś tu być muſi?... ale bieda mi z tym  
nieukiem! Arlekinie, wytłumacz ty to mnie  
iaśniej, co mowiſz.

ARLEKIN.

Otoż ci powiem; ſzedł tedy mimo czło-  
wiek iakiś, z którym ſię Kapitan mile witać  
począł; tamten nie wiele mowiąc, kawałek  
żelaza, co tu u boku w tych krajach wieſza-  
ią, dobył, i chciał Kapitana na ſzpikować,  
Kapitan mu ſię nie dawał. Aż w tym wy-ko-  
ło trzech iakiſeiś ſzyfzow, którzy Kapita-  
na ſzubienicę poprowadzili,

A tamtegoż?

ARLEKIN.

Nie, on sam tu poszedł.

SKAPINO.

Jakisz to był człowiek? i co za ieden?

ARLEKIN.

Spytaj się iego, kiedy chcesz. Nazywał  
go Kapitan bratem, a on iego s. fi. lutem.

SKAPINO.

Jak że ten człowiek wyglądał?

ARLEKIN.

Podobny do Kapitana.

SKAPINO.

Czy nie Maryusz? brat iego? iako on po-  
wiada... Lecz co by on tu robił? i zkądby  
ta sprzeczka między Bracią?... wkuwają strę-  
nę Pana poprowadzono?

ARLEKIN.

Od tu!...

SKAPINO.

Czy żołnierze prowadzili?

ARLEKIN.

Tak, oni.

SKAPINO.

Podźże zemną, uwolniemy Pana.

ARLEKIN.

Hoy! nie poide, idz sam, kiedy chcesz wi-  
sieć; ia się z Sbryganim widzieć muszę.

SKAPINO.

Ale nie boy się, podź.

Hei, nie!

SKAPINO.

Czy nie dziwnysz to prośtak?.. muszę tam o Panu się wywiedzieć; ale gdzie go najdę? ieśli go nieszczęście spotkało, iako. on mo- wi. U komędy się nayspewniey dowiem. Idę.



## A K T III.

### S C E N A I.

ARLEKIN. Sam ieden (po Europeyskim przebrany.)

Otoż ładny Pan Arlekin! dziwnie, i śmie- sznie piękny ieśtem dopiero. Mam ku- dły pożyczane, sukie piękne w prawdzie, ależ co to potym? ponieważ te piękności nie są moje... Z tym wżysłkim powiadaia, że pod temi szorami nierownie się grzeczniej- szym stanę, iakoż i tak być musi. ha. ha. h.. Czy nie szalenisz to ludzie? że się te fratzki pięknie wydaia, radziby i mnie podobno na to zdanie pociagneli, ażebym w nich miał ia Arlekin moje rozumne upodobanie? ale się ożukaia. Bo i tak trzymam rozu- mnie, że te wżysłkie rzeczy będąc cudze,



nie mi zgoła prawdziwie dobrego przydać  
nie mogą. Wszakże się ja temu nie dziwię,  
że oni tak są śmiesznie wyperswadowani; bo  
im policya, i ich właściwa cdułacya, zda  
mi się, rozum pomiczłała. Szkoda ich wre-  
szcie, bo są dobrzy czafem ludzie, niechże  
sobie szaleją, i ja ich przynę sła enstwo,  
ale tylko na grzbiet w tych ferezyach, a co  
do głowy nie dopuszczę, gdyż rozum ina-  
czej radzi.

## SCENA II.

ARLEKIN. UKRZYWDZONY.

UKRZYWDZONY.

W nieszczęściu, które mnie trapi, sama  
tylko odludność najmilszą mi się stała pocie-  
chą, gdzie przynajmniej do woli na nie-  
sprawiedliwość ludzką uskarżać się mogę.

ARLEKIN.

Jak ja sobie uważam, ten człowiek gnie-  
wa się na kogoś.

UKRZYWDZONY.

Szczęśliwsi nie równie, i po tysiąc kroć  
szczęśliwsi dzicy owi w dalekim kraju świa-  
ta ludzie, którzy się samym tylko prawem  
natury rządzą, a nigdy się z zdracliwymi  
prawnikami nie poznali!

ARLEKIN.

Oh! oh! zdaie się, że człowiek być rozu-  
mny... Hey dobrze moy bracie mówisz, wszy-  
scy w tym kraju chytremi jesteście.



UKRZYWDZONY.

Coż to? za napaść?

ARLEKIN.

Idę o zakład, że cię obieścić chciano; powiedz prawdę?

UKRZYWDZONY.

Głupis jest moi kochany wiedz, że ludzi moiej rangi nie wieszają.

ARLEKIN.

Ot to kiedy już zelgał! czy nie wiesz, że godniejszych i lepszych od ciebie wieszają; nie wielkaby była szkoda, żeby i ciebie na galeź wyniesiono! nadto uważ to sobie, że mnie samego, mnie Arlekina przed małą chwilą ledwo co nie obwieszono, a coż ciebie?

UKRZYWDZONY.

Chciano ciebie?

ARLEKIN.

Tak jest, mnie w moiej osobie.

UKRZYWDZONY.

Znać, że słuszne tego przyczyny miano.

ARLEKIN.

Jako żywo, nie, cała przyczyna, napaść była. A to tak: hultaj nie iakiś nazwiskiem, ile pomnę, Tandeciarz, ofiarował mi swoy towar, iam go przyjął właśnie z przyjaźni. On potym chciał odemnie pieniędzy, iam zaś nie chciał dać, bo sam nic nie miałem. On w złość, ia w złość, on do mnie, ia do nie ko, aż mu potymkiem zapłaciłem. Otoż tak

flu.





śluszną przyczynę miano?... ale nie tu koniec; ten hultay sprowadził drugich hultaiów, z ktoremi mię chciał obwieścić, i już by przyszło do tego, gdyby mię Kapitan moy z rąk ich nie był wyrwał.

UKRZYWDZONY.

Biada mnie, właśnie mi do zupełności biedy takowego spotkania potrzeba było! już po wszystkim, trafiłem, widzę, na jakiegoś rabusia, który tu w bliskości znać ma swoje bandę, i Kapitana, iako sam się wymowił. I skutnie oto ma na sobie, które zdarł z kogoś?

ARLEKIN.

Co ty tam u kata szepcesz?

UKRZYWDZONY.

Mówiłem sobie, że ten kupiec, nieśluszenie się obzedł z tobą.

ARLEKIN.

Pewnie że... ja mówię, że on zdrayca, obwieść, hultay, niecnota!

UKRZYWDZONY.

Tak jest, i słusznie się gniewasz, bo to nie frazka być obwieszonym.

ARLEKIN.

Co u licha, nie tylko nie frazka, ale rzecz bardzo mnie obchodząca; iakoż ile razy na ten iego postępek wspomnę, tyle razy sam się z gniewu nie poymię! no, no! dam ja iemu!

UKRZYWDZONY.

Trzeba się na potym takowych ludzi pilnie wystrzegać.. Kłaniam się W. M. Panu!

E



ARLEKIN.

Dokąd idziesz?

UKRZYWDZONY.

Poydę tu do zgromadzonych nie daleko  
przyjaciół moich, którzy mię wyglądają.

ARLEKIN.

Nie poydziez, bo ja chcę, żebyś się tu  
zatrzymał, rozmówimy się z sobą.

UKRZYWDZONY.

Czasu nie mam.

ARLEKIN.

Musisz go znaleźć, bo ja tak chcę.

UKRZYWDZONY *na stronie.*

Zginołem, szczęście moje, jeśli mi życie  
daruje!

ARLEKIN.

Powiedz mi, czy jesteś pocziwy czło-  
wiek?

UKRZYWDZONY.

Jestem z daniem moim.

ARLEKIN.

Ja temu nie wierzę bez kaucyi, gdyż bez  
niej wasze słowa nic nie ważą. Dayże mi  
wprzód kaucya, a potem się rozmówimy.

UKRZYWDZONY.

Zkądże ja onę wezmę?

ARLEKIN.

Zkad?. poszukay tylko w tych pobo-  
cznych dziurach, bo wy je tu za zwyczaj  
chowacie.

UKRZYWDZONY.

Dostyc, już po mnie! nie masz się czego



targować... Mci Panie, znam czego odemnie  
żądaś?.. Masz worek, a w nim resztę sub-  
stancyi moiej.

ARLEKIN.

Gdyby kto zemną tak postąpił, wrazbym  
go ubił, ponieważ jestem pocciwy czło-  
wiek, i rzetelność moja kaucyi nie podlega.

UKRZYWDZONY.

Nic ia o tym nie wątpię, kłaniam W. M.  
Panu.

ARLEKIN.

Poczekay ieszcze!

UKRZYWDZONY.

Ah! biada mnie w tak nieszczęsnym razie!

ARLEKIN.

Zal mi, że z tobą tak postąpić muszę,  
zdaiesz mi się bowiem być pocciwym, i do-  
brze trzymasz o Amerykańskim narodzie  
naszym.

UKRZYWDZONY.

Bodaybym się między niemi urodził, nie  
podlegałbym tylo nieszczęściom, które mię  
zewsząd otaczają.

ARLEKIN.

Na, wracam ci twoię kaucyą, wierząc na  
gołe słowo, żeś pocciwy człowiek, ponie-  
waż życzysz sobie być wespół obywatelom  
narodu mego.

UKRZYWDZONY.

Ale Mci Panie..

ARLEKIN.

Wieszże o tym? i żem jest dziki Amery-  
kanin?

Eij



UKRZYWDZONY.

W. M. Pan? zaś?

ARLEKIN.

Ja, przybyłem dziś do kraju tego, i już  
więcej w nim niegodziwości postrzegłem;  
niż bym był przez tyfiac lat w oyczytych  
lasach doznał.

UKRZYWDZONY.

Może i to być.. chwałaż Bogu, aż mi lżej  
stało.

ARLEKIN.

Powiedz mi dopiero, czego się frasujesz?

UKRZYWDZONY.

Przegrany mam proces.

ARLEKIN.

Proces?...proces.. Coż to jest ten proces?

UKRZYWDZONY.

Zwyczajnie sprawa, którą z drugim sąsia-  
dem miałem.

ARLEKIN.

Coż to jest ta sprawa? iak ona wygląda?

UKRZYWDZONY.

Jak wygląda? zwyczajnie, iak wszystkie  
procesy. (na stronie) Proszę iak mu tu iasniej  
wytłumaczyć, co to jest proces?... Wiesz W.  
M. Pan o tym, że mamy prawa w tych kra-  
jach?

ARLEKIN.

Wiem.

UKRZYWDZONY.

Tych praw przestrzegają ludzie mądrzy,  
i roztropni.



ARLEKIN.

To pewnie ci, których nazywacie Sędziami? czy tak?

UKRZYWDZONY.

Tak jest. Otoż, gdyby kto komu fortunę odebrał, pozywają go przed tych Sędziów, którzy roztrząsają obojga stron dokumenta, dla przyśądzenia ktoreykolwiek z tych, słuszności.

ARLEKIN.

Ha. ha rozumiem dopiero, co to jest?

UKRZYWDZONY.

Już lat jest temu ro. iakom zaczął prawo z sąsiadem iednym, który mi był winien 500 Złotych, aż teraz kilka w przód podiowiszy sądów, ostatecznie przegrałem.

ARLEKIN.

Na coż było kilka sądów dla iedney sprawy podeymować?

UKRZYWDZONY.

Dla wątpliwości, które wybiegi prawne uraszczają.

ARLEKIN.

Wybiegi prawne?... Co ty przez to rozumiesz?

UKRZYWDZONY.

Trzeba rozumieć sposób wynaleziony na zawikłanie sprawy z siebie nayiaśniejszey; która staie się nie poiętą, i długo nie zrozumianą, kiedy nad nią prawne głowy miesiać iaki posiedzą.

ARLEKIN.

Coż to są za iedni?





## UKRZYWDZONY.

Są to ludzie mądrzy, biegli w prawie, którzy w pewnym kształcie, i porządku przekładają sprawę Sędziom dla uniknięcia jakiegokolwiek zdrady.

## ARLEKIN.

Bardzo dobrze, już tedy takim porządkiem i kształtem sprawę przed Sędzią przekładając, zdrady obawiać się nie trzeba?

## UKRZYWDZONY.

I owszem, tenże sam kształt okazywać częstokroć zdrady podaje.

## ARLEKIN.

Jakże to?

## UKRZYWDZONY.

Bo od niey wszystkie prawne wybiegi sily nabierają.

## ARLEKIN.

Przedzedy z głowy wynidę, niż to, co mówisz, wyrozumiem. Ale powiedz mi: ponieważ Sędziowie, ludzie mądrzy na, czynienie sprawiedliwości wystawieni są, czemuż tym wybiegom prawnym nie zabiegają?

## UKRZYWDZONY.

Nie zabiegają, bo nie mogą, gdyż wybieg ten prawny nic innego nie jest, tylko niejakićś pozorne na samymże prawie osadzone prawa tłumaczenie, któremu kształt pewny, czyli forma, którą na uniknienie zdrady postanowiono, pochoep dało.



## ARLEKIN.

Widzę, że te prawa, i ta forma, iakoś nazwał, prawa waszego, równie iako i rozum wasz pomieszane być muszą!... Ale powiedz mi, ponieważ wiecie, że ci prawo umiejący ludzie sprawy wasze mieszają i nie porozumiane czynią, czemuż im wy one powierzacie? ja gdybym miał sprawę, upewniam, że tym Junciom i nosa do mojej sprawy nie dałbym wścibić.

## UKRZYWDZONY.

Niepodobna bowiem bez nich się obeyść, gdyż ci ludzie są prawnie postanowieni, przez których sprawy przed Sędziów zanieśiony być mają, ani się godzi W. M. Panu w sprawie swojej samemuż stawać.

## ARLEKIN.

Czemuż mi się nie godzi?

## UKRZYWDZONY.

Boś się W. M. Pan prawa nie uczył, i formalitatem Juris nie rozumiesz.

## ARLEKIN.

Jak? iak., że nie umiem sztuki zawikłania, zamieszania, sprawy mojej dla tego produkować nie mogę?

## UKRZYWDZONY.

Nie. niemożesz!

## ARLEKIN.

Słuchay, dobroć wrodzona gniew we mnie i słuszną zemstę wstrzymuje. Inaczej łeb bym ci rozplatał za tak bezwstydną kłamstwem... Czy przeto? iżem ci kaucyą wrocil, tak się ze mnie śmiało natrząsasz?



## UKRZYWDZONY.

Nie natrząsam, iako żywo, nie, ale prawdę w swej szczerości przekładam. Prawa są mądre, Sędziowie roztropni i sprawiedliwi; ale złość ludzka, która każdey rzeczy na złe zażywać zwykła, zażywa czasem powagi i pozoru sprawiedliwości dla utrzymania, i ukrycia niesprawiedliwości... A że prawo bez wydatków pieniężnych obejść się nie może, ubodzy czasem długo sprawiedliwości czekać muszą, a możnieli wyścigać swe szkatuły.

## ARLEKIN.

Co zaś? pieniądze daćcie?

## UKRZYWDZONY.

A iakże prawo bez pieniędzy zacząć?

## ARLEKIN.

Czy nie l'cho z temi pieniędzmi? bez nich w tym kraju ani stąpić, wszystko przedażno za pieniądze, samę nawet sprawiedliwość kupują.

## UKRZYWDZONY.

Nie godzi się o tym ani myśleć! sprawiedliwość co do istoty nic nie kosztuje, ale forma sprawiedliwości, albo Juris formalitates, drogo kosztują. Jam się z tą wycięczył, dla utrzymania moiej sprawy, którą dopiero przegrał, bo nie była prawna.

## UKRZYWDZONY.

I to cię alternie?

## UKRZYWDZONY.

Otto pytanie? iakże mię nie ma taka fra-  
ta alterować?

ARLEKIN.

Tam do kata, raczey byś się ciefzyć po-  
winien!

UKRZYWDZONY.

Czemu?

ARLEKIN.

Boś dopiero pozbył rzeczy takiey, kto-  
ra byś rad był przed dzielącią laty bez tych  
rakładow daremnych utracić... Ja zaś szczy-  
rze ci, mówię, że gdybym miał podobny to-  
war, dawno bym go był wrzecz utopił.  
ale.. ale.. namieniłeś podobno, że ten pro-  
ces, któryś przegrał, był o 500 Złotych?

UKRZYWDZONY.

Tak iest.

ARLEKIN.

Szkoda, żeś go stracił; gdybyś go miał  
dopiero, prosiłbym, żebyś mnie go uścił,  
wrazbym zaniął owemu oszułtowi, kupco-  
wi, który domagał się o oddanie 500. Zło-  
tych za swoy towar. I oddał bym mu go w  
zapłacie na zemszczenie się, i oddanie figła,  
ktory mi ten kultay wyrządził.

UKRZYWDZONY.

Pewniebyś się W. M. Pan lepiey zemścić  
nie mogł.. Mci Panie, reflexye W. M. Pana  
folgę czynią żalowi memu, i radbym się dłu-  
żey z W. M. Panem zabawił, a iniley iego  
zażył konwersacyi, ale mi interessa dłużey  
bawić nie pozwalaią. Więc kłaniam W. M.  
Panu.. Bodaybyś tey niewinności i prośoty  
iak naydłużey dochował!



ARLEKIN.

Kłaniam, ieśli macz cokolwiek rozumu,  
strzeż się prawa!

## S C E N A III.

ARLEKIN. *Sam ieden.*

Niech lichy bierze wszystkie procesa  
prawne! ah! co zdrad pod tak pięknym tai  
się słowkiem. Lękam się mocno, by gdzie na  
prawo nie nastąpić, bo to lichy bardzo nie  
spokoyne... ale, wiem, dobra, i pieniądze są  
prawa okazyją. ho! ho! odrwij się prawo z  
wybiegami swemi, i formami, ja nie mieć  
nie będę, a zatym nie będę się znikim pra-  
wował!

## S C E N A IV.

LEANDER. ARLEKIN. SBRYGANI.

LEANDER.

Owo nasz Amerykanim. Jakże się pięknie  
ustroił?

SBRYGANI.

Jak się macz Arlekinie?

ARLEKIN.

Ha! bądź zdrow SbrYGani.

SBRYGANI.

Jakżeś dopiero grzeczny?

ARLEKIN.

Czy grzeczniejszy niż przedtym?



Pewnie, nie równie grzeczniejszy.

ARLEKIN.

To i dobrze, bom ja tak chciał.. Jestem nie pocziw. iesli u tych ludzi rozum nie iest pomieszany!

LEANDER.

To ci sie dziwno być zdaie, że cie grzeczniejszym w tym stroiu sądzą.

ARLEKIN.

Jakże nie dziwno mi? Żem się stał iednym razem grzeczniejszym, chociażem nic z swego do tego nie przyłożył... Kiedy zaś wspomnę na to, co wemnie Kapitan wma-  
wiał, odiać się śmiechowi nie moge, naprzy-  
kład powiedział mi.. ha. ha. ha.,

LEANDER.

Coż ci powiedział?

ARLEKIN.

Powiedział, że ludzie grzeczniejszy tak się iak ja dopiero w tych krajach noszą.. aha, ha.,

SBRYGANI.

I ja od śmiechu wstrzymać się nie moge  
ha. ha. ha,

ARLEKIN.

Powiedział mi ieszcze, że z ludzmi nie-  
dobrze ubranemi wstyd iest obcować, a lu-  
dzi, stroyniejszych z większą dystynkcyą  
przyimuią... aha. ha. ha. Rozumiał podobno,  
że na dudka natrafił, ktorego łatwo ulowi,  
alenie z tego, znam ja co prawda, a co drwi-  
ny, nie prętko kto te we mnie kłamstwa w  
mówi.



LEANDER.

W mowi, czy nie w mowi, sam notym doznasz, że piękna suknia estymacyi, i powagi przymnażać się zdaie.

ARLEKIN.

Wierz mi, że nie masz żadnego, tak głupiego Amerykanina, któryby z was, i z zdania waszego nie szydził, gdyby usłyszał: że są ludzie na świecie, którzy z kroiu, i piękności sukien w ludziach grzeczności i zacności miarę biorą. Ale dośwć tego! SbrYGani, to mię naybardziej cieşzy. że czego mi do utwierdzenia przyiaźni z tobą potrzeba było, razem z tą suknią tego nabyłem.

SBRYGANI.

Wiedz, że mnie się ten twoy afekt podobą moy Arlekinie.

ARLEKIN.

Ah! ah! ieszcze to nie wszystko... nauczył mię Kapitan rożnych kontorsyi, wykrzywiania, kiwania, ktore iak on mowił, w tych sukniach koniecznie umieć potrzeba... Patrz czy dobrze tak: (*przechadza się z innakieryą*)

LEANDER.

Aha ha. ha. oto kiedy się nadął? aha. ha. ha. boki od śmiechu po zrywam.

SBRYGANI.

Czy tyle cię Kapitan nauczył?...

ARLEKIN.

Oh! nie, nauczył mię ieszcze, iak to pięknie z kim mowić. pośuchaycie tyło: Mci



Panie Sbrygani... szczęśliwa ta godzina, która mnie z Amerykańskich lasów wyprowadzi-  
wizy, w tych krajach stawiała, ażeby... w  
tych krniach stawiała, ażeby...

LEANDER.

Coż dalej?

ARLEKIN.

Ażeby... w tych krajach stawiała, aże-  
by...

SBRYGANI.

Prędzey, prędzey,

ARLEKIN.

Ażeby, ażeby, ażeby.

LEANDER.

Ażeby co?

ARLEKIN.

Ażeby zamilkł, i nic cale nie mówił...  
Czy nie choroba! z taką pamięcią? wszystko-  
gom zapomniał, czegom się był nauczył.

SBRYGANI.

Szkoda, znać z początku, że coś piękne-  
go dalej było.

ARLEKIN.

I bardzo pięknego, coż mi czynić teraz?

SBRYGANI.

Czyń, co chcesz, mnie co do tego.

ARLEKIN.

Zapewne słowka nie rzekłszy, z tą-  
deyść będę musiał.

SBRYGANI.

Co zaś? nie możesz to słowy wyrazić, że  
nie sprzyiasz?



ARLEKIN.

Sposobem waszym nie potrafię, bom w tey mierze głupi iak fadło.

LEANDER.

Prawdziwie, śmieszne stworzenie!... wierz mi Arlekinie, porzuć piękne słowka, a powiedz rzetelnie to, co masz w myśli, to daleko lepiej, tobie zaś łatwiej będzie.

ARLEKIN.

To prawda, wolę i iak tak. Bo też w tym komplementach, którym przepominał, wiele i aż na zbyt wiele było kłamstwa, Naprzykład, było to: że dla obrony honoru i fortuny twojej własne życie gotow jestem utracić. A to jest nie prawda, bo kto mi kazał, za tak marną rzecz życie, które jest człowiekowi najmiłsze, tracić. A tak moi Sbrzygani, iak bym cię tą moją mową, pewnie oszukiwał; niechże tam poydzie do kata ow komplement, nie bardzo mi teraz żal, że wypadł z pamięci.

LEANDER.

Otoż pięknieysze dopiero rzeczy powiedziales nad to wszystko, czegoś przepominał. Wierz, żeś się tą rzetelnością bardziej, niż tyfiac komplementami przypodobal. *(To mówiąc tabaki zażywa.)*

ARLEKIN.

Coż to robisz?

LEANDER.

Alboż nie widzisz co robię?



ARLEKIN.

Ah! co ja widzę.

LEANDER.

Coż to nowego?

ARLEKIN.

Jakże nie nowego?.. Jam dotąd nie wiedział, że ty nosem, a nie gębą iadaasz. ah! fe, fe...

LEANDER.

A tyż jak?

ARLEKIN.

Ja zwyczajnie gębą.

LEANDER.

Ale tego nie przełkniesz.

ARLEKIN.

Jak to nie? pokaż ( *tabakę kładzie do gęby* ) a. fe, co to za przekłety proch tfuy, tfuy... ah! co to za diabeł tak gorzki, ostry. zgryźliwy! twy. twy.. ah! zginolem język mi odgryzie, albo spali. tfuy! tfuy! tfuy...

LEANDER.

Proch ten dobry i potrzebny, ale go użyć nie umiesz. nie gębą, ale nosem zażywać należy. patrz ( *zażywa tabaki* ) zażył dopiero.

ARLEKIN.

Nie mogę, nie;

LEANDER.

Trzeba się przyczuć, bez tego w posiedzeniu przyjacielskim obevść się trudno.

ARLEKIN.

Coż kiedy ja nie nazwyczajęm się nosem iadać... a ty czy umiesz Sbrygani?





SBRYGANI.

Patrz, (*zażywa*)

ARLEKIN *zagląda w nos Sbryganiemu.*

SBRYGANI.

Coż to znaczy?

ARLEKIN.

Patrzę, ieśli zęby w nosie macie?

LEANDER.

Ha, ha,... co po zębach w nosie? zęby iako i ty w gębie mamy.

ARLEKIN.

Zęby w gębie macie, iakże ten proszek nosem iadacie? ia tego nie poymię.

LEANDER.

Poymiesz, kiedy ci wytłumaczę: Proszek ten widziś, na spędzenie zalegających w nosie i głowie humorow wynaleziony, który przez nos wciągany, nie iedziony, ani, iak ty rozumiesz, gryziony bywa. Zażyi go tyło, a wraz tego skutku doznasz.

ARLEKIN.

Dayże (*zażywa mocno tabaki, potym rzuciwszy tabakierkę o ziemię*) ah! ah! ah! oszukałeś mię oszuscie! co ia z moim nosem teraz pocznę?... ah! ah! (*kicha*) ah! ah! nos kręci gorzki diabeł.

LEANDER.

Stoy, nie boy się, będzie nos cały.

ARLEKIN.

Gdzie u licha cały, iuż się podobno i pozczepał ah! ah!. obacz obludniku, oszuscie! zwodzicielu!

LEAN-



LEANDER.

Nieprawda, nosa, nie okaleczyśz. że zaś gryzie, przeto kichasz; ale to jest do czaśu, nim się nazwyczaisz; wszakże to samo na zdrowie wynidzie.

ARLEKIN.

Nie chcę ja tego zdrowia, co mi nos kręci... Czy wiesz, oto tego diabła podsuń temu nosatemu starcowi, z którym byłeś tu niedawno, niechaj mu trochę nosa ukręci, bo nazbyt ma wielki... Słuchaj, iak się ten bies zowie?

LEANDER.

Tabaka.

ARLEKIN *kicha.*

Boday ią kat piekl! nie widzę ja w niey żadnego pożytku, tylko, że nos iak świedrem wierci.

LEANDER.

Jest na to sposob, chustka w kieszeniach, którą nos gdy wytrzesz, gryzienia czuć nie będziesz.

ARLEKIN.

To chyba... nie wiedziałem prawdziwie na co mi tę plachtę w poboczne dziury wetkano. (*dobywa chustki, w tym nieostrożnie zwiędłało mu z kieszeni wypada, które obyrzawszy*) a to co?

LEANDER.

Nowa tu z tym nieukiem komedya będzie.



ARLEIN (*obaczysz w zwierciadle*)

Ah! czy widzisz? nie wiedziałem prawdziwie, że człowieka wkieszeni noś!.. Jakże piękny?.. rusza się.. śmieie się. &c... Jakież to dziwny człowiek?.. spójrz ieno Sbrygani... aha.. śmieie się ze mnie... ah! alboż ty dwoiaki Sbrygani? bo ja tu ciebie drugiego widzę?

SBRYGANI.

To nie ja, ale moja postać.

ARLEKIN.

Jakże tu ulicha wlażła?

SBRYGANI.

Aha.. ha.. ha.

ARLEKIN.

Patrz, patz, i on się śmieie aha. ha. ha.. ah! i drugi się śmieie aha. ha. ha. &c. Poczekay, skrzywię się.. ah i on krzywi się, pokażę język, figę &c.

LEANDER.

Prawdziwie śmieszna scena, *Arlekin szuka za zwierciadłem, i łapa.*

LEANDER.

Czego szukasz?

ARLEKIN.

Oglądam mieysce, gdzie ci ludzie są, tak jest wielki iak Sbrygani, a jednakże miejsca nie widzę, gdzie on jest. (*bierze zwierciadło, a gdy nie widzi w nim postaci Sbryganiego, mowi*) ha, gdzie się ten podział, co był tobie podobny?



LEANDER.

Rzecz ci całą wytłumaczę... nazywają to zwierciadłem, jest to sekret, który mamy do widzenia siebie, bo co to widzisz, jest tylko wyobrażeniem twoim, które to szkło odbija. Toż czyni, ze wszystkiemi rzeczami, które przed nim stawione bywają.

ARLEKIN.

Jest to sekret bardzo piękny; powiedz mi jednak: ponieważ takowe zwierciadła robić umiecie, czemuż takiego nie wynaydziecie? któreby zamyśli, i chęci wasze wyrażało? te by nie równie potrzebniejszy było, bo mogłbym w nim obaczyć, jeśli ze mną szczerze, a nie obłudnie Sbrygani postępują, gdy się moim przyjacielem czyni.

LEANDER.

Zaiste takowe zwierciadło byłoby pożyteczniejszy.

ARLEKIN.

Ani wątpić; i gdybym był miał takie na ow czas, kiedy ow hultay Tandeciarz chciał mię oszukać, byłbym go w nim obaczył, a przeniknowszy jego złe zamyśli, uwieść bym się nie dał.

SBRYGANI.

To pewna, żaden by cię nie oszukał.

ARLEKIN.

Gdyby to miał także zwierciadło i moi Kapitan, pewnieby zrozumiał, co za zdrady knował na Jego ow hultay, który go kazał zaprowadzić do więzienia.

Fij



LEANDER

Ale.. nie raz mi wspomniałeś o twoim Kapitanie, powiedz mi: iak się on zowie?

ARLEKIN.

Jak się zowie?.. zowie się Kapitan, a więcej nie wiem, to wiem, że on iest człowiek, ma nos, głowę, uszy, głowę, nogi, iako i ty. i on mię z sobą przywiozł z Ameryki.

LEANDER.

Z Ameryki?... Czy nie Leliusz to moy Synowiec?...

## S C E N A V.

LEANDER. ARLEKIN. SBRYGANI.  
SKAPINO.

SKAPINO.

Całe prawie miasto zbiegawszy, iak na nieszczęście Leandra domu nie nayduię, nie wiem gdzie go iuż i szukać? poydę daley, a może się dopytam.

LEANDER.

A toż co ia widzę? patrz Sbrygani-  
SBRYGANI.

Ah! Skapino sługa Leliusza,... Skapino.

ARLEKIN.

Skapino a Kapitan gdzie?

SKAPINO *do Leandra.*

Ah! Mei Panie, iak szczęśliwym trefunkiem po długim szukaniu W. M. Pana tu potykam.





LEANDER.

Ah! Skapino ciebieli widzę, czyli też ma-  
ra iaka oczy me ludzi?.. mały gościu, wier-  
ny Synowca kochanego sługo, a Leliusz...

SKAPINO.

Ah! Moi Panie!

LEANDER.

Rozumiem, coć słowa wuściech ucina.  
Boisz się pewnie, nie pocieszna nowina ser-  
ce Stryiowskie przerazić; ale raow śmieie,  
przeciąg czasu nie mały, i dawniej o śmierci  
Synowca powzięta wiadomość, żal ten nie-  
co w mym sercu uśmierzyła. Powiedz przy-  
najmniey, gdzie to nieszczęście potkało, i ja-  
kim trefunkiem sam z onego tak szczęśli-  
wie wybrnołeś?

SKAPINO.

Powzięta o Pana mego śmierci nowina  
zgola fałszywa, iako żywo nie zginął, iako  
W. M. Pan z wieści rozumiesz, ale żyje Pan  
moi, a Synowiec W. M. Pana.

LEANDER.

Żyję?... mamli temu wierzyć.

SKAPINO.

Tak jest, nie inaczej, dziś właśnie do por-  
tu tutejszego przybiliśmy.

LEANDER.

Znow, mowisz Leliusz? ktoregośmy w  
niebezpieczeństwie zatopionego oplakiwali. Ah! co  
za radość, iak nie wymowna pociecha serce  
mi ogarnęła, pojąć się z radości, z tak pożą-  
daney, i nigdy nie spodzianey nowiny nie



mogę. O iako się tu Ociec z Syna, a Maryusz z przytomnego ucieszy brata?.. Gdzieś się dopiero on bawi?

SKAPINO.

Ah! Mci Panie..

LEANDER.

Coż to jest? co to smutne westchnienie znaczy?

SKAPINO.

Znaczy, i wiele znaczy.

LEANDER.

Mowże: co takiego?

SKAPINO.

Ah Mci Panie, żal mówić nie dopuszcza.

LEANDER.

Zaiętą w sercu pociechę podeyrzanym milczeniem alterujesz. Czemu mię tak długo w wątpliwości trzymasz? mów rzetelnie miły Skapino, czy życie moy ukochany Synowiec?

SKAPINO.

Żyję w prawdzie, ale coż potym, kiedy się tu przed W. M. Panem stawić nie może.

LEANDER.

Przedemną się stawić nie może? coż mu w tym na przeszkodzie?.. nędzy się pewnie swej wstydzi? wszakże jeśli się w tak dalekiej podróży odarł, będzie miał u mnie czym się okryć, sukien, pieniędzy, wszystkiego u mnie najdzie, dać słowo. Niech to wzyśtko przybycia jego do mnie nie opóźnia.

SKAPINO.

Insza mu cale nędza, acz przytomne.



widzieć się z W. M. Panem nie dopuścza.

LEANDER.

Mówże, coż takiego?

SKAPINO.

Dość tych obrzelków, czas już aż nadto rzeczy iawnie odkryć: Mci Panie Synowiec W. M. Pana Leliusz w ściśłym więzieniu, w tym mieście ięczy, pomocy i miłosierdzia przezemnie od W. M. Pana żebrze.

LEANDER.

Przebog, co mówisz? Leliusz w więzieniu? coż go za występki do więzienia wtrącił?

SKAPINO.

Nie występki, ale złość ludzka w to nie-fczęście niewinnego wprawiła.

LEANDER.

Czyli przecie?

SKAPINO.

Rzecz trudna do wierzenia, pewna iednak; rodzony Brat iego Pan Maryusz tey zelżywości jest autorem.

LEANDER.

Co zaś? Maryusz? w czymże mu przewinił?

SKAPINO.

W tym chyba, że z nim się niespodzianie spotkałszy mile, iako brata, przywitał. zmieszany, niewiem, czemu tym spotkaniem Maryusz poznawać Brata nie chciał, na przywitanie zaś zelżymym łaianiem odpowiedział, tey nie zwykłej wexy przyczyny, po wielokrotnym pytaniu, Pan moy dopytać się



nie mogąc, do domu W. M. Pana pośpieszyć chciał, ale on mu drogę z dobytą bronią zastąpiwszy, albo z Miasta ustąpić, albo się na śmierć pewną odważyć kazał, przybyli na ten hałas żołnierze, przed ktoremi Maryusz chytrze się wyłgawczy, Pana mego pod straż ich oddał... Ale nie wczas z przydłuższą się relacją rozciągani, każdy moment przewłoki biednemu Panu wiekiem się zdawać musi? Mci Panie, rzecz odwłoki nie cierpi, czas W. Panu pomyśleć o iak nayprętszym Synowca swego uwolnieniu. Arlekin zaś, który był przytomny całej tey transakcyi, obszerniejszą W. M. Panu uczyni wiadomość.

LEANDER,

Zkądże mu ta złość przeciw niewinnemu Bratu?

SKAPINO,

Ja tego nie zgadnę, i Pan moy nie wie.. ale Mci Panie nie baw mię W. M. Pan, a czym prędzey znanomego dla wyzwolenia Liliusza od siebie do Komedy wyszli.

LEANDER.

Sbrygani, bież prętko do Komendanta, a imieniem moim ouwolnienie Liliusza upraszay. Jeśliby trudność iaką dla włożoney na jego potwarzy w tym czynił powiedz. iż ia go na swoię porękę biorę. Idź czym prędzey, nie baw się. *Sbrygani Idę ( odchodzi wraz z Skapiną )*



## S C E N A VI.

LEANDER. ARLEKIN.

LEANDER.

Proszę, co za niecnota, Pan Maryusz... po-  
jąć nie mogę, co go do tey przeciw Bratu  
niełudzkości przywiodło... Czy nie omylna  
tyło z przybyciem iego nadzieia w otrzy-  
maniu odemnie zapisow, tę mu desperacką  
myśl podała?.. bo coż go inszego do tey  
przeciw Bratu zawziętości pobudzić mo-  
gło?.. tak jest .. to cała niegodziwość zdrady  
przyczyna być musi.

ARLEKIN.

Coż to sam z sobą rozmawiasz? porzuć  
tego partacza, a zemną się zabaw.

LEANDER.

Arlekinie, znasz ty Synowca mego?

ARLEKIN.

Coż to za ieden? nie znam nikogo.

LEANDER.

Jak to nie znasz? wszakże zdami się Ska-  
pino powiedział, żeś był przytomnym, gdy  
go do więzienia żołnierze porwali.

ARLEKIN.

Ha, ha, czy nie o moim Kapitanie mo-  
wiał?

LEANDER

Ja nie wiem, i dopytać się od ciebie po-  
tyle razy nie mogłem, kto jest, i iak się na-  
zywa twoy Kapitan.





ARLEKIN.

Kto? iest Kapitan, jużem mowił.

LEANDER.

Coż, że Kapitan, ale iaki? czy okrętu?

ARLEKIN.

Nie okrętu, ale moi, on mię tu z Ameryki dziś z sobą przywiozł.

LEANDER.

Jak się nazywa?

ARLEKIN.

Jam go zawsze zwał Kapitanem, ale Skapino sługa iego nazywa go Mci Panie, a czasem Le, le, liufzu.

LEANDER.

Toś ty sługa Synowca mego?

ARLEKIN.

Nie prawda, Ja sam sobie sługa, sam Pan, nikomu nie służę.

LEANDER.

Mnieysza o to, pytam się tylo, czyś z tym Leliuszem, ktoremu Skapino służy, do tych Kraiow przybył.

ARLEKIN.

Jakże nie, on mnie tu z sobą przywiozł; czy onże twoy Synowiec?

LEANDER.

Jam iest Stryi iego, ten zaś ktoregoś tu nie dawno widział, Ociec iego.

ARLEKIN.

Ten, ten, nosaty dziadus? Oycem iest Kapitana mego?



LEANDER.

Tak to jest; gdzieżś go odszedł?

ARLEKIN.

Jam go nie odszedł, ale on od żołnierzów,  
iako wy nazywacie, porwany odemnie od-  
szedł.

LEANDER.

Za coż go porwali?

ARLEKIN.

Dwoch za ręce, a trzeci co raz powta-  
rzał, idź niecnoto, idź.

LEANDER.

Nie oto się pytam, chcę wiedzieć, z jakiej  
przyczyny, ci go żołnierze porwali?

ARLEKIN.

Oto tak; Kapitan zemną rozmawiając po-  
strzegł człowieka iakiegoś.

LEANDER.

Wiem: opisz że mi tego człowieka.

ARLEKIN.

Coż kiedy ja pisać nie umiem, ale Kapi-  
tan moy umie.

LEANDER.

Nie rozumiesz, co mówię, pytam się: iaki  
był ten człowiek?

ARLEKIN.

Jaki? taki, iako i drudzy, ależ zły, swar-  
liwy.

LEANDER.

Wyfoki, czy niski?

ARLEKIN.

Nie, frzedni.

✱ ✱ ✱  
LEANDER.

W iakiey sukni?

ARLEKIN.

W krotkiey.

LEANDER.

Kolor iaki?

ARLEKIN.

NB. *Powie, iaki kolor będzie.*

LEANDER.

Już to nie kto, tylko Pan Marynusz. Coż, iak się spotkali?

ARLEKIN.

Kapitan chciał go oblapić, a on iego, i mnie chciał żelazem przekłóć.

LEANDER.

Za coż?

ARLEKIN.

Mnie za to, żem Kapinana bronił, a Kapitana za sukcesyją iakąś, którą mu Stryi obiecał.

LEANDER.

Jużem w domu dopiero. Co za zdrajca! dla sukcesyi, dla kawałka fortuny, tak niegodziwie, z rodzonym Bratem postępil, o hultaj! o.... Ale oto właśnie z Oycem idzie, ustap ztąd Arlekinie, na czas, jest tego przyczyna.

ARLEKIN.

Jaka?

LEANDER.

Ustap tylo, potym obaczysz.



## S C E N A VII.

PANTALON. MARYUSZ. LEADER.  
ARLEKIN.

PANTALON.

Rozumiem najmiłszy Braciszeńku, że nie-  
potrzebna perswazyja, która dotąd do za-  
kończenia intereśu naszego na przeszkodzie  
była, przeciągiem czasu oddalona, powol-  
nieyszym cię na prozbę moję uczyni. Coż  
na to miły Leandrze?

LEANDER.

To, co i przedtym, płonnym wieściom  
nie wierzę, pewnieyszey wiadomości cze-  
kam.

PANTALON.

Możesz być pewnieysza nad tę, którą ma-  
my wiadomość? na coż nam inšzey czekać?

LEANDER.

Na coż się w tej rzeczy, która zwłokę  
cierpi, niepotrzebnie kwapić?

MARYUSZ.

Dwa razy daie, kto prędzey daruje Mci  
Stryiaszeńku.

LEANDER.

Dwa razy bredzi, kto bez potrzebnie i  
bez względu z darem się kwapi, Mci Mary-  
uszu.

PANTALON.

Wzgląd tylko na pierwszą Leliuszowi  
uczynioną obietnicę mieć by należało. kto-  
gdy z śmiercią jego ustaie, nie miałbyś



się czego miły Bracie na proźby nasze ociągać.

LEANDER.

Coż, ieśli Lel usz żyje? serce moje całe mi o zyciu iego dobrze tuszyć każe. Wzienia przez sen nie raz powtorzone niby przytomnego przed oczy stawia. Ztąd nadziei nie tracę, że Oycowi syna. Bratu Brata, mnie synowca kiedyżkolwiek, może i w krotce uciśnąć przyidzie.

MARYUSZ.

Boday byś to w szczęśliwą wyrzekł godzinę Mci Stryiu! ah! ktoby mi dał, żebym kochanego Braciszka kiedyżkolwiek uciśnąć i ucałować mógł. to pewnie na wspomnienie nędzy iego, gdyby tego potrzeba był, i własney nie żałowałbym cząstki, ale to płonne nadzieie, sen mara, i pochlebne affektu uroienia, dla których nie chcey, proszę, podroź fatygi, i usilne proźby nasze daremne czynić. *Leander* (na *siro nie*) co za bez wstydnny obłudnik... i także mowisz Maryuszu? Może ta żądza twoia w krotce w skutku się uici?

ARLEKIN.

On, on zapewne; (*bieży z dobytą swą szpadką do Maryusza*) Tuś mi, hultain! za-boyco Kapitana moiego!

MARYUSZ.

Ah!.. tuś mi bez wstydnny z Kapitanem twoim napaśtniku!

LEANDER.

Stoy Arlekinie!





ARLEKIN.

Podź tu, a wraz, cię rozplątam.

PANTALON.

Stoy Maryuszu.

MARYUSZ.

Puść Oycze, a wraz tego złodzieia pogmąchtam. (*nadchodzi Leliusz, Maryusz, rzuca szpadę dobytą*) ah zginolem!

## S C E N A Ostatnia.

PANTALON. LEANDER. MARYUSZ.

LELIUSZ. ARLEKIN. SKAPINO.

SBRYGANI.

PANTALON.

Ah! co ia widzę, syn moy, Leliusz!...

ARLEKIN.

Ah! Kapitanie, ieszcze niewisisz?.. wczas przyszedłeś, ubiłem tego hultaia!

PANTALON *do Leandra.*

Ah! bracie co znaczy ta żołnierzy asystencya?... ah synu, przebog, coć tak czoło zasępilo?... Maryuszu, czegoś się zdumiał? Leliuszu, coż to jest w kaydanach?

LELIUSZ.

Tak co jest, Syn od Oycza odiachałem, teraz po długim niewidaniu muszę się z Oycem witać iak łotr, i niewolnik.

PANTALON.

Co to jest?... rzeczy nie poymię, Leanderze?...



LEANDER.

Maryuszu, otoż żądze twoje uiszczone,  
masz Brata, czemu go nie uciśniesz, nie  
ucałujesz? coć to w zadumienie wprowało?

MARYUSZ.

Ah! mnie!

LEANDER.

Niecnoto! okrutny Brata niewinnego  
zdrayco! iakoś nie pohamowaną kawałka  
fortuny żądzą zaślepiony, wrodzoną ku  
bratu miłość w niehumanym sercu zatłumił,  
iakoś wszelkie przyrodzenia prawo pode-  
ptawwszy tak długą podróżą, tyło przypadka-  
mi znędnionemu Bratu ostatniej przy-  
mnożyć odważyłeś się nędzy? milczył?...  
podnieś oczy, a spojrzysz na sprawkę twoją;  
czego się wstydzisz? czego truchlejesz?  
gdzie ow wspaniały umysł, owa gdzie na  
spotkaniu Brata odwaga?... ah! niecnoto!  
okrutny! braterskiej krwi żarłoku!

MARYUSZ.

Ah! mnie! już zginęłam!

PANTALON.

Coż to wszystko znaczy? senli oczy ma-  
mi? pojąć się z podziwieniami nie mogę. Lean-  
drze, powiedz co mam o tym wszystkim  
rozumieć?

LEANDER.

Słuchaj bracie, a jeśli w sercu twoim na-  
kółkolwiek Oycowskiej ku synowi miłości  
iskierka się nayduie, zemści się tak okru-  
tny synowi od własnego Brata zadanej

krzy-

krzywdy... Ten niecnota, któregoś dopie-  
ro z osobliwą ku bratu chęcią obłudnie  
oświadczającego się slyszal, tę, w którąś  
uwierzył, i we mnie wmówić pragnął o za-  
topieniu się Leliusza zdradliwie rozliawszy  
pogłoskę, przybyłego dziś tu do tego mia-  
sta, dla wykonania zdradliwych swych za-  
myślow, temi kaydanami skępował, i w  
ściśle w tracił więzienie. Ah! frog a nieludz-  
kości! zemści się proszę, tak ciężkiey nie-  
winnego krzywdy, ni. chay ten zdrayca za-  
służoną swę zdrady odnieście nadgrode.

PANTALON.

Ah! co ia slyszę! Maryuszu, mam li ia te-  
mu wierzyć? wszakże go samo milczenie  
potępia, ah! niecnoto! frogi własnegoż Oy-  
ca w niewinnym bracie zaboyco! dobiiasz  
mnie tak okrutnym, tak nie ludzkim postę-  
piem twoim. Ah! hultaiu! którąś należytą  
twey niecnocie wymyśle karę?... oto z wła-  
sney cię wydziedzicze części!.. ale to mało.  
na wieczne skażę cię więzienie, i to mało.  
zemsta! ah! synie! nie synie, ale...

MARYUSZ.

Ah! Oycze!

PANTALON.

Precz mi z oczu niecnoto! nie znam cię  
za syna.

MARYUSZ.

Ah! Stryiu!

LEANDER.

Niegodnyś Synowca słodkiego nazwiska,  
młoty łotrze!

\* \* \*

MARYUSZ.

Ah! Bracie!

LELIUSZ.

Bratem mię dopiero nazywałeś? któregoś niedawno nie znałeś takiego?

ARLEKIN.

Patrz, patrz, iak on teraz dobry, i pokorny; oi nic z tego, Kapitanie odday mu za swoje!

MARYUSZ.

Znam, żem postąpił niegodziwie, wybacz, wybacz Braciszeńku.

PANTALON.

Postąpiłeś niegodziwie, i musisz być ukaranym sprawiedliwie... Miły Leliuszu, strapiiony tym niesłychanym nieszczęściem synu, ciebie samego Sędzią w tej sprawie obieram, przemyśl, proszę, słuszną twej krzywdy zemstę, postanow karę sprawiedliwą na tę niecnotę.

LELIUSZ.

Oycze, jeśli mię Sędzią tu czynisz, zemścić się mej krzywdy, mam dekret gotowy, ale ten, który z chrześcijańskiej pochodzi miłości. Oto daruję Bratu urazę. Nie tylko nie chcę, żeby brat moy tracił część fortuny, która na iego spada, ale i własną mu część, ktorej mogę się od Oycy podziwiać, ustępuję; sam tylko na łasce Stryia do brodzieia przeżaię.

MARYUSZ.

Ah! moy braciszeńku!



## LELIUSZ.

Wiedz o tym Maryuszu, że większa we mnie miłość braterska, niż gniew sprawi-  
liwy. Wiedz, że nie pragnę pomsty.

LEANDER.

Wielki to twoy umysł Leliuszu, miłość  
chrześcijańską, i braterska godna pochwały,  
i naśladowania. Ależ darmo, godzien, i wy-  
stęppek kary.

PONTALON.

Nic ztego, na na sucho to puiść nie może,

ARLEKIN.

O, trzeba, żeby i on tyle posiadział w  
więzieniu, wiele moy był tam Kapitan, pro-  
szę was, i za takie łakomstwo, podeyscie,  
niechay nic nie ma.

PANTALON.

Podźmy do Pokoiu.

ARLEKIN.

Jako widzę policya tuteysza i edukacya nic  
nie może bez rozumu, i musi się zawsze  
prawidłem onego rządzić. Dobre są ustawy,  
i przepisy, ktoremi się ten narod miarkuie,  
tylko ludzie przewrotni czasem tego na złe  
zażywaią, ależ i to dobrze, że onych za ta-  
kie postęпки karzą.

K O N I E C.







